Rok IV. Lwów, 1. listopada 1910. Nr. 5.

Członkowie Sekcyi Turystycznej T. T. otrzymują czasopismo bezpłatnie. .. ..

TATERNIK

Prenumerata wynosi: 3 K (3 M., 1 rub. 50 kop.) rocznie z przeszyłką. :: :: ::

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego

Wychodzi sześć razy do roku pod redakcyą komitetu.

Adres Redakcyi: Roman Kordys, Lwów, Lindego 8. Adres Administracyi: Mieczysław Lerski, Lwów, pl. Bernardyński 3.

Pojedyncze numery są do nabycia w cenie **50 hal.** we Lwowie w Księgarni Polskiej ulica Akademicka, w księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego, ulica Teatralna i w sklepie St. Płońskiego, Chorążczyzna 6; w Krakowie w biurze dzienników Hopcasa & Salamonowej i u J. F. Fischera, Rynek A-B; w Zakopanem w księgarni L. Zwolińskiego, Krupówki i w handlu A. Górasia, Krupówki.



TATERNIK

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego.

Rok IV. Lwów, 1 listopada 1910. Nr. 5.

JANUSZ CHMIELOWSKI.

Klimek Bachleda.

Wspomnienie pośmiertne.

W sobotę, dnia 6-go sierpnia r. b., w godzinach popołudniowych, wówczas gdy wszyscy uczestnicy pierwszej wyprawy ratunkowej, szukającej śp. Szulakiewicza znajdowali się jeszcze w zdradliwych ścianach Małego Jaworowego Szczytu — na smutnem niebie Tatr śmierć Klimka Bachledy była już zapisaną i czysta dusza Orła Tatrzańskiego odeszła w krainę, z której się już nigdy nie powraca... W tydzień później — pod stopami groźnych, nieogarnionych olbrzymów, w zadumanej granitowej głuszy, wśród zimnych zwalisk spiętrzonego pod chmury świata — odnalezione zostały śmiertelne Jego szczątki. Ileż treści mają dla nas te słowa, jakim żalem głębokim i smutkiem bolesnym napełnia nas konieczność uświadomienia sobie, iż o człowieku, z którym się tyle przeżyło, którego się znało tak dobrze, ceniło i kochało — pamięć już tylko pozostała... Ale pamięć tak wierna, tak mocna, tak przestrzenna, iż nie wygaśnie, dopóki tylko dzieje turystyki tatrzańskiej pisać się będą — albowiem Klimek Bachleda był nietylko niezrównanym, nigdy już i przez nikogo zastąpić się niedającym, najzasłużeńszym i najznakomitszym, najdzielniejszym i najidealniejszym przewodnikiem polskim, nietylko niezmordowanym odkrywcą i najświetniejszym znawcą Tatr, który niejednych wydarzeń pierwszorzędnego dla świata taternickiego znaczenia *pars magna fuit*, ale i człowiekiem o umyśle niepowszednim, o charakterze niezwykle prawym, o sercu — jak toń jezior ta-

trzańskich czystem i szlachetnej z natury — nie przez obowiązek lub dogmat, — przedziwnie harmonijnej w swej prostocie duszy, człowiekiem który oddał resztki starganych życiem sił, śpiesząc z pomocą zaginionej ofierze gór, człowiekiem, który nad wyraz tragiczną — i grozą przejmującą ale zaszczytną i prawdziwie bohaterską swą śmiercią dowiódł czem jest hart ducha, wola niezłomna i poświęcenie bez granic.

W chwili — jak mówi w „Czasie" prof. E. Cięglewicz — „kiedy straszna i potężna kurniawa, sypiąca śniegiem, gradem i ulewą zaciemniła świat cały, kiedy najmężniejsze serca ratowników zwątpiły w ratunek i kiedy wódz wyprawy dał hasło do odwrotu, by nie narażać na śmierć pewną swej drużyny, w chwili kiedy się wszyscy cofnęli, rzekł do siebie stary bohaterski Klimek: — tam żywy człowiek czeka ratunku — i sam jeden ruszył, pomimo strasznej wiejby, pomimo 61 lat, pomimo schorzałego i wątłego ciała". — On jeden tylko, nie zważając na ostrzeżenia i prośby towarzyszów i zupełne już niemal wyczerpanie sił swych w trwającej od świtu walce ze straszliwym żywiołem, pomimo wezwania a nawet wyraźnego rozkazu naczelnika „Pogotowia" — nie zawrócił, i nie chcąc słyszeć o rezygnacyi i opuszczeniu rąk, pełen całkowitego zaparcia się siebie, w najcięższych warunkach, „w burzę i ćmę", poszedł sam jeden dalej, — czynić nadludzkie, uporne i rozpaczliwe wysiłki odnalezienia nieszczęśliwego turysty i piąć się z żelazną wytrwałością „wśród mgły, pośród wichru i śnieżycy, przez lecące z płyt lodowate spady wód", by spełnić do końca twardy obowiązek dobrowolnego a aż do zgonu ofiarnego członka „Pogotowia Ratunkowego" — poszedł po bohaterską śmierć!

I znalazł ją...

A w Tatrach wykwitł „czarny, ponury cyprys żałoby".

* * *

Klimek Bachleda, urodzony w r. 1849 w Bachledówce koło Kościelisk, przybył do Zakopanego mając lat dwanaście, dobrze już — jako sierota bezdomny — uzbrojony na gorzki los życia. Biedny góralski chłopiec służył tu czas dłuższy u zamożniejszych gazdów, lato spędzając jako goniec a następnie juhas na halach, poczem wywędrowawszy na „uherską" stronę pracował przez lat kilka na słowackiem Podtatrzu. Później przyszła służba wojskowa. — Kiedy w r. 1873 powrócił do Zakopanego, — natrafił właśnie na chwilę, gdy Podhale nawiedziła cholera i gdy ludność, przejęta panicznym strachem przed okropną zarazą i przerażona widokiem licznych ofiar, pierzchała w popłochu na wszystkie strony. Doszło do tego, że nikt nie chciał grzebać zmarłych. Wówczas to Klimek Bachleda w prawdziwie humanitarnym i szlachetnym porywie poświęcił się po raz pierwszy i niosąc ratunek ginącym i spełniając smutne funkcye grabarza oddał gminie, która Go przygarnęła bardzo wielkie usługi.

Twarda jednak słała się przed Nim droga do zdobycia skromnych warunków istnienia, nie zaoszczędzone Mu były krzywdy życia i jego zawody, długą i znojną była ścieżka, wiodąca Go ku uznaniu i sławie. Oże-

niwszy się w Zakopanem, wiódł Klimek życie — zrazu jako pomocnik ciesielski, wśród pracy codziennej, ciężkiej i mozolnej, nie przeczuwając jeszcze wcale, jakiem będzie właściwe Jego przeznaczenie.

Nadeszło ono w postaci przewodnictwa.

Gdy Chałubiński „odkrył“ Tatry i gdy sława ich odezwała się szerokiem i potężnem echem w całym kraju, inteligencya polska zainteresowała się wreszcie wyprawami górskiemi i zaczęła liczniej przybywać do Zakopanego. Powstało taternictwo, a wodzenie po górach stało się fachem. Klimek oddał się wtedy całą duszą, z całem zapamiętaniem się i zamiłowaniem temu tak wysoce odpowiedzialnemu i niebezpiecznemu zawodowi i przetrwał na swem stanowisku lat przeszło trzydzieści, „spędzonych w trudach, grozach i tryumfach taternickich“ odegrawszy znakomitą i rozgłośną rolę w historyi polskiej turystyki tatrzańskiej i wychowawszy całe dwa pokolenia taterników. Przed oczyma jego przeciągnął potężny okres czasów rozwoju i istnienia taternictwa — okres żywy! Do grobu z Nim schodzi cała epoka. Nie każdemu dano oglądać taką panoramę...

Pamiętał On jeszcze czasy, gdy z Krakowa do Tatr końmi przez Myślenice i Zabornię dwa dni się jechało, gdy pocztę pieszy posłaniec z Nowego Targu do Zakopanego przynosił, — znał tego człowieka, który przez lat dwadzieścia z górą codziennie ową wędrówkę tam i z powrotem odbywał. Ten sam Klimek, u schyłku swego życia ze schroniska nad Morskiem Okiem przez telefon ze znajomymi w Krakowie na wycieczkę się umawiał, a w niespełna godzinę później nie trzęsącą furkę, która ongi przez Jurgów lub Głodówkę cały dzień niemal do Zakopanego się wlokła— lecz dwudziestokonny samochód przed „Płonką“ na Krupówkach opuszczał. Gdy po raz pierwszy był Klimek przy Jeziorze Szczyrbskiem — jeden tylko skromny domek Szentivanyi'ego nad stawem się wznosił; w czterdzieści kilka lat później, siedząc nad temże jeziorem przy hotelowem table d'hote słyszał świst lokomotyw kolei zębatej, a z elektrycznością oświetlonego Szmeksu (dokąd z Zakopanego w zaraniu taternictwa częściej przez Rówienki niż przez Polski Grzebień dążył) do Kolbachu tramwajem linowym zajeżdżał...

Przeszli przez Tatry ksiądz Stolarczyk i Chałubiński, Maksymilian Nowicki i Janota, Eljasz, Świerz, Asnyk, Pawlikowscy i tylu, tylu innych. Cały hufiec istotnych pionierów alpinizmu tatrzańskiego przesunął się przed Nim. Widział On owe słynne pochody liczną i huczną, wesołą drużyną i był ich uczestnikiem, widział owo koczowanie w górach, z namiotami, ze zorganizowaną z Zakopanem pocztą, owe „wycieczki bez programu“ z nieodzowną muzyką góralską, gdy z pod smyczka Bartka Obrochty rozbrzmiewała „od ucha“ nuta marsza: „Hej — Madziar pije, hej — Madziar płaci“... lub gdy ze staroświeckich gęślików legendarnego Jana Sabały Krzeptowskiego wydobywały się rzewne akordy „Słodyczkowej Pieśni“; pamiętał jak wśród takich wypraw całe świerki i jodły na ognisko rąbano, jak to Józek Roj przez Zawrat dla zaoszczędzenia kierpców boso chodził i jak

białe, płócienne torby przewodnickie, powiązane z sobą — w razie potrzeby w zastępstwie lin były używane.

Były to czasy, gdy podrwiwano wprawdzie (Chałubiński) z „dobrodziejstwa szwajcarskich kamaszy o funtowej podeszwie, gęsto wielkimi nabijanej gwoździami“, mówiąc (Witkiewicz), że takie „ogromne, podkute całą masą żelastwa trzewiki“ nietylko „chrobocą na granicie“ ale i „ułatwiają wyjście z równowagi“, lecz były to również i czasy, w których ksiądz Stolarczyk, wyszedłszy na szczyt Gierlachu pada na kolana i śpiewa *Te Deum*, w których Jan Pawlikowski, przeleżawszy półtrzeciej doby w kolebie nad Kamiennym Stawem w oczekiwaniu pogody przed przedsięwzięciem wyprawy na Kiezmarski Szczyt nie uważa bynajmniej dni owych za stracone lecz przeciwnie, powiada wyraźnie, że widoki na cudną grę kłębiących się fal morza mgły po dolinach i włóczące się po śmigłych krzesanicach opary „uczyniły z tych dwóch dni“ — „jedne z najpiękniejszych“ w jego życiu, dodając nieco dalej: „dni schodziły nam na gawędzie (z Maciejem Sieczką i Wojciechem Bukowskim) bardzo szybko, owszem przedłużaliśmy je w późną noc“. Ale bo też z takimi ludźmi jak Maciej Sieczka, któremu chłodny poważny, refleksyjny Asnyk znany swój wiersz poświęca (i którego — nawiasem mówiąc — Klimek zarówno jako przewodnika znakomitego i wielce doświadczonego, strzelca świetnego i człowieka o rozumie nieprzeciętnym nadzwyczaj wysoko cenił i za mistrza swego uważał) lub Klimek Bachleda— niejeden dzień i noc niejedną można było przegwarzyć. Z iluż, iluż gawęd podobnych z Klimkiem z czasów długiego szeregu wspólnych z Nim po Tatrach wędrówek i piszący te słowa ma wspomnienie niezapomniane!! Przy buchającej płomieniem i sypiącej iskrami watrze — hen, gdzieś w Piarżystej, Mięguszowieckiej czy w Złomiskach, w Kaczej, Jaworowej lub Staroleśnej, gdy gęste wieczorne mroki kirem zaciągnęły świat i na ciemny granat nieba z mglistych, porwanych osłon wysnuły się srebrem drgające gwiazdy, gdy jasna tarcza księżyca wypłynęła na królestwo nocy, co ciche skrzydła nad kamienną pustką rozpostarła, — oczy nasze i myśli uczuciom wywołanym wierne na szczyty i granie wracały i wszczynała się jedna z tych, zda się w nieskończoność przeciągać się mogących rozmów o górach, które taternicy godzinami całemi, bez śladu znużenia i ze stale podnieconem zainteresowaniem prowadzić są zdolni.

. . . .

. . . .

. . . .

Minęły czasy „romantyzmu“ w turystyce tatrzańskiej, minął „złoty okres“ taternictwa „odkrywczego“ — nastąpiła doba „wynalazków“... Nastały inne, nowe, obce dla Klimka czasy. Pod koniec życia Swego widział On w Tatrach i amerykańską „miss“ z przewodnikiem z Grindelwald'u i młode polskie turystki z 15-to kilowym workiem na plecach, dokonywające „solo“, we dwie lub trzy „pierwszych wyjść“, słyszał rozbrzmiewające zewsząd hasło „bez przewodnika!“, patrzył na bezprzykładne tryumfy Hä-

berlein'a, na „nowoczesnych taterników", spacerujących po Orlej Perci w tenisowych ubraniach z tabliczką czekolady w kieszeni i na „turzystów" paradujących po Zakopanem — w powrocie z Czerwonych Wierchów — w manchesterowych kostyumach, z czekanem Jörgowskim w ręku i przewieszoną przez ramię potwornie grubą, 30-to metrową liną, widział góry zarzucone blaszanemi pudełkami od konserw i rojące się od szukających „nowych dróg" „ceprów" i widział, jak te góry stają się polem popisów „współzawodniczo-gimnastycznych", areną zmagania się zawiści i płaskich ambicyi i „widownią chełpliwości"...

* * *

Klimek Bachleda zdziałał jako przewodnik więcej, niż wszyscy Jego poprzednicy — razem wzięci.

Odegrał On tak znakomitą i rozgłośną rolę w dziejach taternictwa i tyle lat owocnej i wytrwałej pracy mu poświęcił, że zasług Jego na tem polu przypominać taternikom niema chyba potrzeby, wystarczy bowiem samo przyjrzenie się poszczególnym ogniwom owego długiego, przeszło 30 lat pracy opasującego łańcucha zasługi, której blask padał nietylko na Niego, ale i na całe polskie taternictwo.

Oto spis ważniejszych Jego wypraw:

P i e r w s z e w y j ś c i a: Staroleśna, Ganek, Rumanowy Szczyt, Kaczy Szczyt, Czubata Turnia, Mnich II., Pośledna Turnia, Północno-Zachodni Szczyt Żelaznych Wrót, Baniasta Turnia.

P i e r w s z e p r z e j ś c i a p r z e ł ę c z y: Rumanowa Przełęcz, Batyżowiecka Przełęcz, Hińczowa Przełęcz, Południowo-Zachodnia Przełęcz pod Cubryną, Południowo-Wschodnia i Północno-Zachodnia Przełączka pod Mnichem II-gim, Przełączka pod Żabią Turnią Mięguszowiecką, przełączka między Smoczym Szczytem a Szarpanemi Turniami.

N o w e d r o g i: Rohacz Płaczliwy z Doliny Rohackiej, Świnica północno wschodnią ścianą, Zamarła Turnia od Koziej Przełęczy, Kozi Wierch od Koziej Przełęczy, Mały Kozi Wierch od Zmarzłej Przełęczy, Mała Buczynowa Turnia z Buczynowej Dolinki, Koprowy Wierch od Niżniego i Wyżniego Stawu Ciemnosmreczyńskiego, Mnich przez przewieszkę, Żabi Szczyt Wyżni z Doliny Czeskiej, Rysy granią od Żabiej Przełęczy, Cubryna granią od Hińczowej Przełęczy, granią od Mnicha II-go i północną ścianą, Ganek od Rumanowej Przełęczy, Rumanowy Szczyt od Gankowej Przełęczy, Żłobisty Szczyt południowo-wschodnią granią, Zmarzły Szczyt granią od Przełęczy koło Drąga, Północno-Zachodni Szczyt Gierlachu od Przełęczy Batyżowieckiej, Wielicki Szczyt ze Świstowej Doliny, Kopa Lodowa południowo-wschodnią granią, Durny Szczyt od Klimkowej Przełęczy, Łomnica od Zielonego Stawu Kiezmarskiego, Baranie Rogi z Doliny Dzikiej przez Przełęcz Stolarczyka, Jastrzębia Turnia od Jastrzębiej Przełęczy, Kołowy Szczyt granią od Małego Kołowego Szczytu, Jagnięcy Szczyt od Przełęczy pod Kopą.

Ważniejsze drugie wyjścia: Mnich, Żabi Koń, Cubryna, Czarny Szczyt, Zamarła Turnia, Drobna Turnia, Kozia Turnia, Kozia Strażnica, Mały Kolowy Szczyt, Zmarzły Szczyt.

Ważniejsze drugie przejścia przełęczy: Żabia Przełęcz, Świstowa Przełęcz.

Pierwsze wyjścia zimowe: Gierlach, Bystra, Błyszcz, Pyszniańska Przełęcz, Sucha Przełęcz.

Do zestawienia powyższego nie weszły bardzo liczne, niejednokrotnie nader ważne nowe waryanty, jak np. na północnej ścianie Mięguszowieckiego Szczytu, na drodze Bröckelmann'a, na Staroleśnej, na Kołowym, Żłobistym, Wielickim, Hrubym Wierchu, Jastrzębiej Turni, Żabim Koniu, Ostrym itd. itd., tudzież takie wycieczki, jak np. przejście Śnieżnej Przełęczy, Rakuskiej Przełęczy itd. itd. Nie mówi ono również i o tem, że na olbrzymiej ilości szczytów był Klimek jako pierwszy polski przewodnik.

* * *

Zrazu chodził oczywiście Klimek tylko jako „pomocnik“ czyli „tragarz“ z Maciejem Sieczką, Jędrzejem Walą ojcem, Szymonem Tatarem starszym i Jędrzejem Walą synem. Najczęściej z tym ostatnim, naówczas już sławnym i znanym. Że jednak Klimek był — jak to sam Wala niejednokrotnie przyznawał — „chłop straśnie do gór ciekawy“, Wala zaś ze swej strony również „straśnie“ o znajomość różnych rzadziej uczęszczanych dróg tatrzańskich zazdrosny, — nigdy żadnych bliższych szczegółów, odnoszących się do jakiegoś mniej znanego szlaku młodszym przewodnikom udzielać nie chciał, pragnąc sobie samemu „monopol“ na odkrywanie tych „tajemnic“ gór zostawić, — często więc, gdy „goście“ rozjechali się już z Zakopanego, wyruszał Klimek sam jeden, z kawałkiem sera i chleba w torbie w turnie, by owe „dziwy“, o których tyle „cudów“ się od Wali nasłuchał nareszcie poznać. — Między innemi — do dróg takich należało wtedy wyjście na Szczyt Mięguszowiecki od Przełęczy pod Chłopkiem — „po głazach“, tudzież z za Mnicha. Oba te szlaki poznał Klimek podczas jednej z owych jesiennych, samotnych wycieczek i na dowód swej bytności na szczycie zostawił na nim wielce oryginalną kartkę — rodzaj biletu wizytowego — w swoim czasie nader sławną. To samo powtórzyło się z drogą na Gierlach przez dawną „Próbę Wielicką“ po łańcuchach. W r. 1886 otrzymał Klimek „blachę“ klasy pierwszej. W tym samym roku wychodzi z Karolem Potkańskim na Mnicha, powtarzając w 6 lat po pierwszem jego zdobyciu śmiałą imprezę Pawlikowskiego, w r. 1888 wreszcie odbywa pierwszą swą „nową“ wyprawę, schodząc dnia 14 sierpnia z Edmundem Cięglewiczem i Janem Fischerem z Łomnicy do Zielonego Stawu Kiezmarskiego*). I dziś nawet, choć miary wartości czynów taternickich pokruszyły się

*) Droga ta różni się tem tylko od dziś powszechnie używanej („Taternik“ z r. 1908 Nr. 4), iż wiedzie przez całą długość górnej Miedzianej Ławki i nie używa wcale

w dłoniach płynących pod banderą, „modernizmu w taternictwie" turystów tatrzańskich i choć wycieczka ta uchodzi obecnie za łatwą — przyznać trzeba, że na owe czasy była pierwszorzędną i jedną z najtrudniejszych do owej chwili w górach naszych przedsięwziętych.

W latach następnych chodzi Klimek bardzo wiele z Franciszkiem Nowickim (który jednę z tych wspólnie z Andrzejem Niemojewskim i jeszcze jednym towarzyszem pod wodzą Klimka odbytych wypraw, mianowicie wycieczkę następującą: Świnica, Koprowa Przełęcz, Popradzkie Jezioro, Wysoka, Rysy, Morskie Oko, Polski Grzebień, Szmeks, Łomnica — opisał w r. 1888 w krakowskim „Świecie"), z Karolem Potkańskim, Edmundem Cięglewiczem, Janem Fischerem, Kazimierzem Tetmajerem, Ferdynandem Hösickiem i Bogusławem Herse, wciąż jednak — hołdując ówczesnemu prądowi i modzie — szlakami utartymi, na Gierlach, Łomnicę, Lodowy, Wysoką, Rysy, Krywań i Świnicę, a niekiedy tylko na Mięguszowiecki, Hruby i Furkot. Dopiero r. 1893 przynosi piękne nowe wyjście na Durny od strony południowo-wschodniej, dokonane przez Klimka razem z Michałem Siedleckim i Janem Fischerem (schodzono do Zielonego Stawu Kiezmarskiego), na pamiątkę której to wycieczki i ku uczczeniu polskiego przewodnika zaproponował prof. Jordan w r. 1901 na łamach „Turistak Lapja" dla przełączki, leżącej bezpośrednio na południowy-wschód od Durnego Szczytu nazwę „Klimkowa Przełęcz", nazwę, która się powszechnie utarła.

W r. 1894 zdobywa Klimek wraz z Kazimierzem Tetmajerem i jego towarzyszami (wśród których znajdował się — jeżeli się nie mylę — i Dr. Tadeusz Żeleński) „wieżę dwuszczytną" wspaniałej, królewskiej Staroleśnej*) — a w rok później staje wespół z Władysławem Kleczyńskim na dziewiczym wierzchołku długi czas powszechnie za nie do zwalczenia uważanego, osławionego Ganku, który oddawna był już celem licznych, aczkolwiek wskutek dziwnego zbiegu okoliczności stale niepomyślnym rezultatem kończących się wypraw i o ujarzmienie którego lata całe rozbijały się daremne wysiłki najzapaleńszych taterników (Ludwika Chałubińskiego z Wojciechem Rojem, Leopolda Świerza z Walą jun., Karola Potkańskiego z Walą jun. i z Jaśkiem Bachledą, Ludwika Szczepańskiego z Jaśkiem Bachledą i innych). I na szczyt ów, o niedostępności którego wśród przewodników zakopiań-

---

dolnej. Jest wszakże od drogi Pawlikowskiego (z którą — ogłoszona w Nrze 3 „Taternika" z r. 1907 za nową — droga, odbyta przez pp. Komarnickich — zdaje się być, o ile z niejasnego opisu Pawlikowskiego można sądzić, niemal identyczna) zupełnie różną.

*) Z przełączki, leżącej bezpośrednio u stóp północno-zachodnich ścian Staroleśnej, pomiędzy tą ostatnią a punktem 2409 m. zeszedł Klimek (sam) skośnym żlebem do kotła skalnego, którym wiedzie dziś na szczyt zwykła droga z Dol. Wielickiej i stąd środkową gałęzią głównego żlebu wydostał się wprost na siodełko nad Dolinką Sławkowską, położone na południe od południowego wierzchołka Staroleśnej, a z niego — na piarżystą przełęcz między wierzchołkami Staroleśnej (patrz IV. tom mego „Przewodnika", str. 16 i 17), poczem powrócił do oczekujących nań na przełączce towarzyszów wyprawy drogą, opisaną w „Przewodniku" pod B i wywiódł ich następnie na szczyt Staroleśnej drogą B.

skich tyle najróżnorodniejszych i najprzesadniejszych opowieści krążyło*) wychodzi Klimek bez wszelkich uprzednich prób, bez długich namysłów nad obraniem drogi i bez jakiegokolwiek jej „szukania“, ot tak sobie, jak gdyby od niechcenia, „okazyjnie“ niemal, bo jedynie tylko przy sposobności zwiedzenia Wysokiej (tego samego dnia co i na nią — mimo 3 godzinnej przeszło straty czasu, spowodowanej przejściem „dla skrócenia drogi“ z pod przełęczy między Siarkanem a Wysoką do Doliny Rumanowej nie półkolem u podnóża Szarpanych Turni — lecz przez przełączkę między Smoczym Szczytem a Szarpanemi Turniami).

Odtąd szły godziny i dni, płynęły miesiące i lata, a nie było roku prawie w którymby niestrudzony i pełnią duszy rozkochany w górach Klimek, przebiegając wielokrotnie — z uszczerbkiem sił i zdrowia — całe Tatry od Rohaczów po Łomnicę — nie odkrywał coraz to innych, nowych tajemnych przejść, nowych „orlich“ szlaków i „honornych“ dróg, nie zdobywał stopą ludzką nietkniętych jeszcze urwistych turni i podniebnych szczytów.

Pod koniec pierwszej i na początku drugiej połowy lat 90-ch odbywał Klimek wycieczki — głównie z Władysławem Kleczyńskim, Wiktorem Barabaszem, Józefem Jawornickim i Zygmuntem Jaworskim... i znów bardzo często wspólnie z Jędrzejem Walą młodszym. Niegdyś Wali uczeń, teraz kolega i przyjaciel, — stał już wtedy Klimek obok Wali na czele przewodników zakopiańskich, — jakkolwiek bowiem żyli jeszcze wówczas i stary Wala (zm. w r. 1896) i Maciej Sieczka (zm. w r. 1897) działalność ich przewodnicka należała już wszakże do przeszłości (jedną z ostatnich poważniejszych wypraw Sieczki było wyjście wraz z Oskarem Scheller'em w r. 1891 na Durny od Zielonego Stawu Kiezmarskiego; z Walą ojcem znajdowałem się raz wprawdzie na wycieczce jeszcze w r. 1895, gdy liczył on lat 75, ale wycieczką tą było tylko... przejście przez Krzyżne do Morskiego Oka). Gdy w r. 1898 Wala jun. opuścił Zakopane i zakupiwszy

*) Ojciec Macieja Sieczki miał być podobno — chodząc za kozami — na „Galeryi Gankowej“ (jak mówił: „na prawdziwym Ganku“), lecz wnuków swoich jeszcze przestrzegał, by „jeśli im życie miłe“ na Ganek nie szli, Szczepan Roj twierdził, że był, na szczycie Ganku, ale nie wyjawiał nigdy kiedy, z kim i z której strony, Wojciech Roj chętnie również o swej bytności na Ganku opowiadał ale i równocześnie o „skale odstrzelonej przez piorun“, które to zdarzenie uniemożliwiło już „obecnie“ wyjście na szczyt, przyparty wszakże do muru żadnych szczegółów drogi podać nie umiał i jako jedyny w przekonaniu jego niezbity dowód prawdziwości swych słów ten tylko fakt przytaczał, iż podczas wycieczki owej „pan Michałowski kąpał się w Rumanowym Stawku“... Jędrzej Wala syn, który dotarł istotnie w r. 1877 z prof. Świerzem do miejsca na grani, leżącego mniej więcej w połowie odległości pomiędzy Przełęczą Gankową a głównym wierzchołkiem Ganku lecz stamtąd wrócił się,— w reminiscencyach swych z owej wyprawy widział się już jednak i na samym szczycie Ganku; gdy atoli przyszło mu wieść nań w r. 1892 prof. Potkańskiego, zaczął z całkiem innej strony, bo od „Galeryi Gankowej“, co świadczy wymownie, że nie był snać tak bardzo pewien, czy od Przełęczy Gankowej wyjść aż na sam wierzchołek można. Zdaje się tedy, że wszystkie te opowieści do świata wyobraźni względnie do „łaciny myśliwskiej“ zaliczyć trzeba.

grunt gdzieś koło Preszowa osiadł na stałe na Węgrzech — królem przewodników polskich został Klimek i „berło“ to królewskie dzierżył już odtąd niepodzielnie aż do Swego zgonu. W czasach owych i wiodło mu się też nienajgorzej. Miał już domek na Kasprusiu, który „gościom“ wynajmował, miał i „dobytku“ nieco, „gazdował“ i był cenionym i poszukiwanym nietylko jako przewodnik, ale i wyborny cieśla-budowniczy, na jakiego się z biegiem czasu wyrobił i — pomimo szóstego „krzyżyka“ i bardzo ciężkiego zapalenia płuc, które przebył w zimie 1900 r., zaziębiwszy się podczas akcyi ratunkowej, niesionej (w dniu 21. stycznia 1900 r.) przy pożarze t. zw. „Kasyna“ (dawnego Dworca Towarzystwa Tatrzańskiego) przez azkopiańską straż ogniową ochotniczą, której był od dawien dawna wielce pożytecznym, oddanym i wybitnym członkiem (nb. pożar ów głównie tylko dzięki Klimkowi został zlokalizowany i nie objął poblizkiej Szkoły przemysłu drzewnego) — trzymał się bardzo krzepko i chętnie jeszcze, gdy pożółkły trawy na uboczach, a liście skoruszy i buków na reglach zakopiańskich złoto rdzawą barwę przybrały - rad był na świstaki do Walentkowej i Wierchcichej lub na kozy do Piarżystej czy Hlińskiej „wyskoczyć“. A strzelcem był wyśmienitym!

Zresztą — z natury rzeczy wychylał się Klimek po za obręb gór i Zakopanego całkiem wyjątkowo, bo jedynie tylko w r. 1896 na pogrzeb Wł. Kleczyńskiego a później w r. 1905 W. Eljasza — do Krakowa i jesienią r. 1908 w celu spełnienia uczynionego niegdyś *votum* — do Częstochowy.

W latach: 1898—1908 był Klimek przeważnie towarzyszem wypraw Konstantego Buszczyńskiego, D-ra Józefa Surzyckiego, D-ra Stanisława Eljasza-Radzikowskiego, Kazimierza Brzozowskiego, ks. Walentego Gadowskiego, D-ra Adama Kroebla, D-ra Stanisława Krygowskiego, Wandy Jerominówny, Wandy Hersówny, Prof. Karola Jordana, D-ra Adama Lewickiego, Kazimierza i Władysława Bizańskich, Mieczysława Karłowicza, Kazimierza i Aleksandra Schiele. Był nawet raz (wiosną 1902 r. na Miedzianem) z Englisch'em!

W ostatnich latach widzimy Klimka uczestniczącego we wszystkich ekspedycyach ratunkowych (podczas wypadku zarówno Dadlez'a, jak i Jenknerów na Wielkiej Buczynowej Turni, w jesiennej wyprawie z r. 1908 do Doliny Niewcyrki, przy poszukiwaniu Weiss'a i śp. Mieczysława Karłowicza), zawsze, o każdej porze i na każde wezwanie gotowego, górującego ponad wszystkimi — nieprzebranymi skarbami Swego nadzwyczajnego doświadczenia, pełnego inicyatywy i energii, budzącego swą odwagą i poświęceniem podziw i cześć całego świata taternickiego.

Nauczywszy się na starość jeździć na nartach, — odbywał też Klimek w nowszych czasach liczne wycieczki zimowe (między innemi — z Teresą Egenhofferówną).

* * *

Istotnie wielcy przewodnicy są równie rzadcy, jak i prawdziwie pierwszorzędni alpiniści. I jeżeli za słuszne uznać mielibyśmy zdanie, wyrażo-

ne niedawno w jednym z listów do mnie pisanych przez pewnego znakomitego znawcę dzisiejszych stosunków pod Tatrami, iż w całem tego słowa znaczeniu i pod każdym względem pierwszorzędnych współczesnych taterników polskich na palcach jednej ręki wyliczyćby można, to bez cienia przesady da się powiedzieć, że Klimek Bachleda był jedynym, naprawdę wielkim przewodnikiem polskim, przewodnikiem tego typu i tej miary, co owi przesławni wodzowie alpejscy: Melchior Anderegg, Jan Antoni Carrel, Chrystyan Almer, Emil Rey, Aleksander Burgener... Fakt, że właśnie ten najlepszy i największy był pierwszym polskim przewodnikiem*), który śmierć w górach znalazł**), — bynajmniej oczywiście twierdzeniem powyższem zachwiać nie jest w stanie. Bo Klimek łączył w sobie wszystkie najprzedniejsze cechy i zalety strzelca-przewodnika z epoki Chałubińskiego z rozumnem, umiejętnem i zupełnem opanowaniem nowoczesnej alpejskiej techniki świata skał, miał za sobą lata całe, spędzone „wśród wirchów i przepaści, chmur i śniegów, kosodrzewin i siklaw, orłów i niedźwiedzi“ lecz mimo to i zapał młodzieńczy taternika, bo umiał śmiałe i wielkie plany nietylko tworzyć ale i w świetny sposób urzeczywistniać. Gdy o rozwiązanie jakiegoś trudnego problemu chodziło, — dewiza Jego brzmiała: żyj, czyń, działaj, walcz! Obdarzony najcenniejszymi przymiotami umysłu, żywą i bystrą inteligencyą, prawdziwie męzką odwagą, niepospolitemi zdolnościami spostrzegawczemi, bajeczną wprost pamięcią topograficzną i niesłychaną umiejętnością szybkiego oryentowania się w najniekorzystniejszych warunkach w najtrudniejszym nawet terenie***), a przytem — całkiem już wyjątkową, zdumiewającą sprawnością fizyczną i podziwu godną energią i wytrzymałością, odbywał Klimek najdłuższe marsze i najforsowniejsze wycieczki —

*) Ze spiskich przewodników — Jan Mahler spadł w r. 1888 „Żlebem Karczmarza“ z Grani Gierlachu i zabił się na miejscu, jeden ze Spitzkopf'ów urwawszy się wraz z łańcuchem w dawnej „Próbie Wielickiej“ w Gierlachu — bardzo ciężkie uszkodzenia ciała odniósł, w nowszych zaś czasach — Hunsdorfer sen. uległ w r. 1905 dość poważnemu wypadkowi podczas pierwszego wyjścia (wraz z p. Horváth'em) na Wyżnią Wysoką Gierlachowską, a Strompf — w r. 1908 w skałach nad Dol. Cichą. Z polskich górali poniósł śmierć — odpadłszy od turni w zachodnich ścianach Czarnego Szczytu (podczas polowania) — stary strzelec z Jaworzyny „Szymcio“ (podobno strąciła go w przepaść koza), brat owego „Michałka“, który ongi „siedział“ jako strażnik Hohenlohe'go na „Polanie pod Wysoką“.

**) Klimek — gdyśmy rozmawiali nieraz o nieszczęśliwych wypadkach górskich wspominał zawsze, że jest zupełnie przygotowany na to, iż z jakiejś wyprawy może już nie wrócić. Tyle lat szczęśliwie się chodziło.. A śmierć swą w górach jak gdyby nawet przeczuwał, dodając, że w turniach nie taka ona „durna“ jak w dolinach i że „warcej hań człeka na Pęksowy Brzeżek wywiedzie“.

***) Od chwili pierwszej mej z Klimkiem wycieczki, tj. od r. 1894 (wraz z Ojcem mym, Władysławem Kleczyńskim itd; szliśmy wtedy na Łomnicę) rokrocznie przez lat kilkanaście z rzędu miałem niezliczoną ilość razy sposobność patrzeć na dowody niezrównanej zdolności Klimka do zapamiętywania najdrobniejszych szczegółów terenu, oraz na dowody Jego genialnego zmysłu górskiego a nieraz i intuicyi przedziwnej w znajdywaniu — bez szukania — jedynej czasem właściwej, w zgoła nieznanym Mu terenie

przynajmniej za czasów, gdy zdrowie Mu jeszcze dopisywało — bez śladu wyczerpania, pnąc się po trudnych lub kruchych turniach z nadzwyczajną zręcznością i nieporównaną swobodą oraz spokojem, a równocześnie zawsze niezmiernie celowo, z czujną rozwagą i ostrożnością, — stąpając z tą samą najwyższą wprawą i pewnością siebie po złodowaciałych śniegach „Żlebu Karczmarza“ co i po ślizkich, stromych, trawiastych zboczach Hawrani lub przewieszających się płytach Żabiego Konia. Przedsiębiorczy i w lot decydujący się, bezustannie baczny na wszystko i odznaczający się fenomenalną przytomnością umysłu a obok tego przezorny — był Klimek w górach ogromnie stanowczym a nawet i nieco arbitralnym. Głęboko i szczerze ale bez afektacyi religijny, sam niezłomnego charakteru i imponująco karnej woli, surowy dla siebie w pojmowaniu i spełnianiu obowiązków swego zawodu — a wyrozumiały dla innych, wyborny znawca ludzi, zawsze i wszędzie towarzysz miły i serdeczny, pełen humoru i dowcipu, ale i niezwykłego taktu oraz wytwornej godności osobistej, troskliwy i ujmujący delikatnem obejściem — zjednywał sobie wśród wszystkich, z którymi Mu tylko spotkać się zdarzyło istotny szacunek i sympatyę niekłamaną. To też każdy dzień przeżyty z Nim w górach przywiązywał doń coraz silniej i zacieśniał coraz mocniej węzeł nieomal już w pierwszej chwili poznania zadzierzgniętej, nie gasnącej za byle podmuchem, — w radości i smutku, w zapale i zniechęceniu wiernej, pogodnej przyjaźni.

* * *

Cicho żył, ale chwała wielka otoczyła Go po śmierci, — chwała równa wielkości Jego dzielnych i zacnych czynów. Śmierć tego ubogiego górala zakopiańskiego wstrząsnęła całem polskiem, — myślącem i czującem społeczeństwem, a ostatnia posługa oddana Mu w Zakopanem przez tysiączne rzesze w dniu 17. sierpnia b. r. — stała się powszechnym obchodem żałobnym, stała się smutnym ale imponującym hołdem, złożonym bohaterskiemu przewodnikowi i szlachetnemu człowiekowi, zamieniła się w potężną manifestacyę moralną, będącą wyrazem czci dla tego nieugiętego bojownika i uwielbienia dla czystych celów, którym wiernie służył i którym życie swe w ofierze oddał.

Klimka Bachledy niema już między nami: spoczął on na zawsze na skromnym cmentarzu wiejskim, pod niebosiężną ścianą gór Swych ukochanych, których sine, śniegami strojne wierzchołki spoglądać będą ku Jego cichej mogile. Ale w wiecznie wielkiem pięknie Tatr, w błękitnym bezmiarze nieba tatrzańskiego i w jasnej topieli jego światła, w chłodnych podmuchach wichru, w powiewie od lasów, hal i jezior, od świetlanych pól

---

drogi (np. przy pierwszem naszem schodzeniu z Żabiej Przełęczy ku Żabim Stawkom bez latarki, wśród nocy). A trzeba sobie uprzytomnić, że ów talent oryentacyjny, to niejako duchowe owładnięcie wszystkiemi tajemnicami gór przejawia się zarówno przy przejściu jakiejś ze względu na bardzo skomplikowany układ skał trudnej, wysokiej ściany, jak i — dajmy na to, — przy pochodzie ciemną nocą we mgłę, a bez światła — niewyraźną percią, wiodącą np. poprzez Dolinę Złomisk.

śniegów i czarnych uroczysk skalnych, od żlebów i krzesanych, przepastnych turni, w tchnieniu rozbudzonych świtem kwiatów halnych, woniejących świeżością limb i migocących brylantami, przepojonych wilgocią mchów i kosówek, w szmerze potoków górskich, szepczących wśród zadumanej ciszy swą nieskończoną opowieść o czasie, w śnieżno-różanych mgłach i białych obłokach nad mogiłą Jego przepływających i w poszumie smreków, co nad przystanią tą czuwać będą — żyć On nie przestanie. Żyć będzie także w Panteonie wiedzy o Tatrach, w rocznikach myśli taternickiej i w sercach naszych, niezapomniany i czczony — Duch opiekuńczy tych, co pod Jego skrzydłami w bezbrzeżnej miłości i tęsknocie do Tatr wzrastali i żyli.

† Stanisław Szulakiewicz.

Ze śp. Stanisławem Szulakiewiczem, zmarłym na ścianie Małego Jaworowego w tragicznej katastrofie sierpniowej — ubył z grona naszego młodzieniec dzielny, na wskróś sympatyczny i najpiękniejsze rokujący nadzieje.

Ginąc miał lat 20. Stał tedy u progu życia, w okresie budzenia się, tworzenia i przełamywania duszy męzkiej, kiedy to chłopięce sny o potędze, nie skażone jeszcze do cna trzeźwiącym powiewem surowej rzeczywistości, krystalizują się w romantycznych formach walki o królujące na niebiosach ułudy ideały. W walce tej legł pokonany. Trzeźwi ludzie nie rozumieli tego. Nie zdolni pojąć, poco iść można na niedostępne ściany górskie, szukali winy śmierci człowieka w jego niedoświadczeniu, lekkomyślności i bucie młodzieńczej. Surowa i bezlitosna jest krytyka śmierci u ludzi zanadto praktycznie myślących. Nas łączyła ze zmarłym wspólna i jednakowo odczuwana namiętność; tem głębszy ból i żywszy żal, jaki dziś pamięci jego towarzyszy. Ale niepodobna nam doszukiwać się winy człowieka, iż padł w walce, którą sam dobrowolnie rozpoczął, a bezpożytecznej dla tłumu. Albowiem wiemy wszyscy aż nazbyt dobrze, że w taternictwie nie wystarczy umiejętność, wiedza, doświadczenie. Potrzeba jeszcze —szczęścia. A tego tak strasznie niedostało nieszczęsnej ofierze północnej ściany Małego Jaworowego Szczytu.

Szulakiewicz był taternikiem młodym; pierwszy raz przybył w góry nasze w 1907 r. Przedtem znany był jako sportsman wszechstronny, świetny łyżwiarz i jeden z najpierwszych w Polsce tennisistów. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że taternictwo Szulakiewicza były jedynie przeniesieniem sportu z kortów i boisk na teren wysokich gór. Sam wielokrotnie zaznaczał, iż nie widzi łączności między sportem na nizinach uprawianym a taternictwem. Daleki od przenoszenia pod tatrzańskie niebo zwyczajów wykształconych na tle spaczonego i zmanierowanego współzawodnictwa sportowego, wkła-

dał w turystykę tatrzańską całą szlachetność i bezinteresowność swego ducha. Skromny, daleki od chełpliwości, pełny dziecięcej prawie czci i nabożeństwa dla gór, nie szukał w taternictwie jedynie tryumfów samych. Niepowodzenia i zawody nie zniechęcały go, przeciwnie — zwiększając urok potęgi gór, przykuwały go do nich coraz silniej.

Gdy wchodził w taternictwo, stało ono wówczas pod znakiem skrajnego optymizmu i nieograniczonej samodzielności, zrodzonej w przemożnem zaufaniu w potęgę własnych sił i zdolności. Atmosfery tej nieodrodnym uczniem był Szulakiewicz. Jego pierwsza wycieczka górska (w Rohacze) skierowana była na „nowe drogi". Podobnie i większość następnych. Mimo to posiadał Szulakiewicz pełny szacunek dla taternictwa, jako umiejętności zdobywanej wieloletniem doświadczeniem. To też chciwie zapoznawał się ze wszystkiem, coby mu teoretycznie i praktycznie umożliwiło osiągnięcie jaknajlepszej sprawności. W krótkiem życiu Szulakiewicza jako taternika widzimy postęp olbrzymi. Wycieczki jego ostatnie nie były zuchwałym aktem lekkomyślności i niepohamowanej ambicyi. Była to raczej gra przemyślana i konsekwentnie przeprowadzana, w której padł, jak padło już wielu, po wszystkich górach świata. Nie upadek go zabił, bo umiejętnie przeprowadzona asekuracya powstrzymała obu przyjaciół u wrót śmierci. Zniweczył go los zawistny, zsyłając okropną niepogodę, udaremniającą wszelkie usiłowania ratujących go druhów.

Boleść ciężka kryje się dziś w sercach tych co go znali i żal serdeczny, że już odszedł, tak wcześnie...

Cześć Jego pamięci! *R. K.*

Z Alp Transylwańskich.

25 lipca b. r. o godzinie 6 rano wsiadaliśmy na dworcu lwowskim do pociągu, aby na Körösmezö i Kołoszwar udać się do Braszowa (Kronstadt), w południowym Siedmiogrodzie, który miał być punktem wyjścia naszej wycieczki w Alpy Transylwańskie[1]). Była nas czwórka, przyjaciele moi Zygmunt Czerny i Janusz Gąsiorowski i brat Adam. Wyekwipowanie tatrzańskie; czekany, prócz siekierek do łupania drzewa, dwie liny 30 metrowe, które okazały się bardzo użyteczne.

[1]) Najlepiej jechać w tamte strony ze Lwowa na Stanisławów-Körösmezö, gdzie wyjeżdżając rano ze Lwowa staje się koło 1 i pół w południe. Stamtąd ma się zaraz osobowy pociąg, którym o północy przybywa się do Püspökladany, gdzie przesiada się do pociągu pospiesznego zdążającego wprost do Braszowa. (Ci zaś, co chcieliby dostać się do Hermannstadtu mają także dogodne połączenie). Przy takiej kombinacyi jazda trwa króciej i co za tem idzie najtaniej, gdyż jak wiadomo na Węgrzech co 24 godzin trzeba kupować nowy bilet. Karta drugiej klasy z Körösmezö do Braszowa kosztuje 20 K. Dla przejścia granicy rumuńskiej należy się zaopatrzyć w paszport.

U celu podróży stanęliśmy dnia następnego o godzinie 2 i pół popołudniu. Braszów 30 tysięczne, prawie czysto niemieckie miasto, rozłożył się u podnóża gór na równej jak stół dolinie na wysokości 530 m., nie ma jednak rzeki. Szczególnie pięknie przedstawia się dla przyjeżdżającego od północy, dolina bowiem obwarowana jest poszarpanemi pasmami Königsteinu (2240), Bucegi (2508) i paru jeszcze niższemi.

Braszów leży u początku tej południowej połaci Karpat, noszącej nazwę Alp Transylwańskich, które ciągną się stąd w kierunku zachodnim a następnie południowym, szerokim pasem na przestrzeni kilkuset kilometrów, stanowiąc granicę Węgier i Rumunii. Nie tworzą one jednolitego łańcucha, lecz składają się z szeregu pasem, biegnących w różnych kierunkach głównie jednak ze wschodu na zachód, o średniej wysokości 2200 m. Pokryte bujnemi halami, mają one w przeważnej części charakter Tatr Zachodnich. Płaskie grzbiety poprzedzielane są ogromnie głębokiemi dolinami, przybierającemi prawie kształt kanionów. Imponująco wyglądają strome, nagie stoki, po tysiąc kilkaset metrów wysokości, po których nierzadko — z wysoko położonych bocznych dolinek — spadają wodospady. Rzucającą się w oczy cechą tych gór jest ich bujna roślinność — szczególnie na południowych stokach. Gdziekolwiek znajdzie się na dłoń zagłębienie, tam tworzy się pyszny trawniczek o pięknych kwiatach; szliśmy po łąkach o nieprawdopodobnem wprost nachyleniu na wysokości 2300—2400 m. Gdzieindziej (Königstein) tęga kosodrzewina sięgała po 2100 metrów, lub las bukowy zupełnie nie skarłowaciały po 1700 albo i wyżej (Galbinia). Przedewszystkiem jednak góry te działają na zwiedzających ogromem; jest to wynikiem wielkiej ich względnej wysokości — z doliny Aluty leżącej około 500 m., n. p. m. wznoszą się odrazu szczyty ponad 2500 m. (najwyższy Negoj ma 2544 m), — i rozległości, tak, że oko się gubi w tym chaosie. Trzecią wreszcie cechą charakterystyczną okolic tamtejszych jest wielka ilość jezior, które nieraz leżą na szerokich grzbietach, jak to się trafia także w górach Marmaroszy poniżej Czarnohory, w partyach zaś alpejskich wypełniają dna dolin, otoczone ścianami skalnemi, leżąc nierzadko w piętrach nad sobą. Odpływy ich spadają po progach stumetrowemi siklawami. Szczególnie bogate w jeziora jest pasmo Retyezatu, tam gdzie góry z zachodniego przybierają kierunek południowy.

Alpy Transylwańskie są bogate w zwierzynę. Niedźwiedzie, wilki, rysie, obok płowego zwierza mają być bardzo liczne, nie mieliśmy jednak z niemi żadnego spotkania. Zato widzieliśmy wiele kozic, mało płochliwych tak, że podchodziły zupełnie blizko. Zdarzyła się nam też na jednym ze szczytów rzecz wcale dziwna — oto biło na nas stado orłów kilkadziesiąt sztuk liczące.

Na halach wypasa się miliony owiec. Juhasi strojem zbliżeni do podhalańskich, noszą na wierzch jeszcze baranicę do kolan, włosem do góry; są uprzejmi i inteligentni — nie mieliśmy z nimi nigdy najmniejszego zatargu. Psy są nie duże i bojaźliwe, naszczekują jedynie zdaleka.

Górami siedmiogrodzkiemi zajmują się dwa towarzystwa: niemiecki Siebenbürgischer Karpathen Verein (S. K. V.) i węgierskie Erdély-Kárpát-Egyesület. Pierwsze z nich, o wiele bardziej rozwinięte, posiada sekcye we wszystkich prawie miastach Siedmiogrodu, zbudowało kilka schronisk, wyznaczyło szlaki i utrzymuje przewodników. W rocznikach jego wydawanych po niemiecku znajduje się najobfitsza literatura tycząca tamtych stron. Staraniem też tego towarzystwa wyszedł przewodnik Bielza-Siegerusa po Siedmiogrodzie, najlepszy z istniejących, jakkolwiek i ten partye wysoko-

górskie traktuje dość pobieżnie. Bardzo przydatne okazało się nam też przy układaniu wycieczki przeczytanie klasycznej rozprawy De Martonne'a o mrofologii Alp Transylwańskich, zamieszczonej w Les Annales de Geographie z r. 1904. Sekcya Hermannstadzka S. K. V. wydała także w dwu kartach mapę środkowej części Alp Transylwańskich, kolorowaną w podziałce 1:75000 z oznaczeniem schronisk i dróg turystycznych (obecnie jest ona wyczerpana, zapowiedziano drugi nakład). Zresztą wystarczyła nam mapa wojskowa 1:75000, która wykazuje drobne tylko niedokładności, największą jej wadą jest to, że we wschodnich partyach nie podaje ona zupełnie terytoryum rumuńskiego. S. K. V. utrzymuje też jak wspomnieliśmy przewodników, nie mieliśmy jednak sposobności przekonać się o ich zdolnościach. Sporty zimowe pielęgnuje Kronstädter Skiverein. Mimo tych ułatwień ruch turystyczny jest bardzo słaby. Chodzą tylko Niemcy. Przez cały czas spotkaliśmy w górach tylko jednego powracającego przewodnika i jedną partyę turystów zdążających do schroniska pod Negojem. W sklepach jest też mały wybór przyborów turystycznych.

Z całego łańcucha interesowały nas tylko trzy grupy skaliste, zbliżające się najbardziej do Tatr i niektórych partyi alpejskich. Königstein (po rumuńsku Piatra Craiului, po węgiersku Kiralykó), potężne pasmo Alp Fogaraskich z Negojem i Retyezat. Odpowiednio też ułożyliśmy sobie plan wycieczki, którą podzieliliśmy na dwie części. Każda z nich obejmowała 8—10 dni pobytu w górach, bez schodzenia w doliny; na tyle też należało brać ze sobą żywności. Pod tym względem wielkie usługi oddała nam mąka kukurydziana, bardzo wydatna i łatwa do ugotowania, powszechne to też pożywienie w tamtych stronach. Część pierwsza obejmowała Königstein i przejście grzbietu Alp Fogaraskich wraz z wyjściem na główniejsze szczyty i zejście do Sybinu (Hermannstadtu); w część drugą, dla której punktem wyjścia była miejscowość Riu de mori (Malomviz) w sąsiedztwie miasteczka Hatszeg i historycznego zamku Hunyadych weszło przejście pasma Retyezatu a następnie zejście na stronę rumuńską w dolinę rzeki Czerny, wzdłuż której dotarliśmy do znanej miejscowości kąpielowej Herkulesbad na Węgrzech. Plan ten zdołaliśmy wykonać w całości wśród zupełnie sprzyjających warunków, gdyż prócz przemijających deszczów, które czasem podczas noclegów dawały się we znaki, panowała cały czas pogoda.

Stosownie zatem do ułożonego planu, zasięgnąwszy jeszcze porady w braszowskiem „Fremdenverkehrbureau“, co do niektórych szczegółów lokalnych, wyjechaliśmy rano z miasta aby koleją dostać się do miejscowości Zernest, położonej u stóp Königsteinu. Jestto pasmo wapienne ciągnące się w kierunku południowo zachodnim na długość około 7 km, wznoszące się na południu głównym szczytem La Om do wysokości 2240 m. Podnóże jego pokryte jest gęstymi lasami, nad którymi sterczą poszarpane ściany wysokości mniej więcej 500 m. szczególnie trudno dostępne od zachodu. Od strony południowej można wyjść na sam wierzchołek La Om po trawach; naszym zamiarem było wyjść na Mały Königstein u północnego krańca pasma, stamtąd przez głębokie wcięcie w grani zwane przez Niemców Krepetura-Schlucht wyjść na grań główną, na La Om i zejść po ścianie zachodniej, którędy wiedzie kunsztownie wytyczony szlak wśród skał. — Plan ten jednak zmieniliśmy nieco później.

Z Zernest wchodzimy w dolinę Riul, przechodzącą nieco dalej we wspaniały ciasny kurytarz skalny (Propasta) bez wody, o prostopadłych wysokich ścianach, przypominający bardzo Kraków w Dolinie Kościeliskiej. Wydostawszy się nadeń czerpiemy po raz ostatni wodę do flaszek — na-

stępny raz mieliśmy ją ujrzeć dopiero po półtorej dobie, drugiego dnia w nocy! Musieliśmy też wiele znieść w gorący dzień wkutek pragnienia. Nad wieczorem rozkładamy się na nocleg u górnych granic lasu. Po dobrze spędzonej nocy szybko wydostajemy się na Mały Königstein (1923), który z tej strony (od południa) zarośnięty jest prawie po wierzchołek kosodrzewiną, podczas gdy na północ i zachód opada ścianami. Ze szczytu schodzimy na Krepeturę, czerwono znaczony szlak wije się między skałami, nie nastręczając nigdzie znaczniejszych trudności. Przełęcz leży bardzo nizko, według aneroidu na 1750 m., oddzielając zupełnie Mały Königstein od reszty grani. Jest ona podwójną, na jednem siodle stoi altanka. Opuszczamy znaki, które gubią się gdzieś w lesie i podchodzimy na małą polankę leżącą na linii przełęczy tuż pod ścianami właściwej grani. Tamtędy chcemy próbować przejścia. Wprost nad nami wydaje się ono dość możliwe. Nad stożkiem piargów zaczynają się półki pokryte bujną trawą — przegradzane skałami, tak jednak, że z jednej można się dostać na drugą. Całe to pole ujęte jest u góry murem skalnym — gładkim jak tylko wapień być może, w jednem miejscu jednak — po lewej stronie — rodzaj żlebu wypełnionego trawą podchodzi tak wysoko, że może da się przejść tamtędy. Wiążemy się po dwóch — idzie się dobrze, asekurować jednak należycie trudno, z powodu braku jakichkolwiek wystających przedmiotów. Tak dochodzimy do krytycznego miejsca — i tracimy tam blizko dwie godziny! Nie pomaga ani czekan, ani żywa drabina; próbujemy jeszcze przejścia na prawo, lecz musimy ustąpić; niedługo znajdujemy się znów na dole. Zwracamy się teraz ku lewej stronie gdzie wchodzi żleb między ścianę a odstające żebro skalne i tu jednak zagradza drogę lita skała, cofamy się więc jeszcze raz i wracamy na prawo od wyżej wspomnianego żebra na zwężające się ku górze pole trawiaste, tak strome, że posługujemy się rękami przy wchodzeniu. Przypominają się opisy i rysunki z Alp Allgauskich; żałujemy, że nie mamy raków na nogach. Pole przechodzi ku lewej stronie w żleb równlеż trawiasty, zaczynający się trzymetrowym progiem, którego pokonanie przy naszem zmęczeniu, poszło dość trudno. Stanąwszy powyżej niego widzimy konieczność użycia lin, żleb bowiem posiada niesłychane nachylenie, nie można się wprost utrzymać. Czerny uwiązuje się, zrzuca worek i wspina się pomagając sobie czekanem. Gdy lina się kończy idziemy po kolei, posługując się liną, worek jedzie na drugiej linie, w połowie jednak urywa się sprzączka u rzemienia, z trudem udało się zrobić węzeł i doprowadzić go na górę. Tych 30 metrów zabrało nam półtorej godziny; teraz niewiele już brakuje i mijamy mur skalny, powyżej nachylenie łagodnieje, mamy jednak do walczenia z bujną kosówką, która sięga tu niezwykle wysoko. Stajemy wreszcie na grani, lecz jest już 4 godzina popoł. Niema więc co myśleć o wędrówce granią, mimo iż wydaje się ona zupełnie łatwa, lecz szukamy drogi do zejścia przez urwiska zachodniej ściany. Z góry jednak trudno coś wypatrzeć. Schodzimy tedy po stromych trawach omijając skały i asekurując się nawzajem, nie wiemy bowiem, co mamy pod sobą. Tak schodząc stajemy wreszcie nad urwiskiem — rozglądamy się i widzimy, że mamy szczęście, pod nami bowiem ciągnie się ukośnie żleb, zaczynający się pod naszemi nogami. Aby doń się dostać, mamy kilkanaście metrów wolnego zjazdu na linie. Stojąc na dole podziwiamy olbrzymią jednolitą ścianę, rozszerzającą się gwałtownie od najwęższego miejsca, któreśmy właśnie pokonali. U stóp jej ciągnie się stromy żleb, w którym stoimy; żleb ten skręca potem na lewo aby przybrać kierunek spadku, dno jego wypełnione drobnym lub grubszym piargiem. Nim musimy zejść blizko

1000 m. w dół, niżej przechodzi w korytarz skalny, kończący się dopiero całkiem w dole wśród lasu. Stajemy tam już w ciemnościach, utrudniających przedzieranie się przez złomy pni i kamienie.

Z lasu wydostajemy się na łąki, któremi już szybko dochodzimy do doliny Burzenu głuchą nocą. Jeszcze godzina drogą w górę potoku i pukamy do drzwi leśniczówki Plaiul Foi, gdzie zwykle nocują wracający z Piatry.

Następny dzień poświęcamy wyjściu na La Om wytyczoną przez zachodnią ścianę drogą. Jest ona bardzo dobrze poprowadzona i wyznaczona czerwoną farbą, a wspinanie się po skałach po przegradzanych trawiastemi półkami nie nastręcza trudności. Umieszczony w jednem miejscu łańcuch jest niepotrzebny, miejsce to bowiem można obejść

Z Plaiul Foi podążyliśmy dalej w górę Burzenu aż do miejsca, gdzie w rozgałęzieniu potoków stoi (nie zaznaczona na mapie) leśniczówka Rodaritta. — W tej ostatniej na naszej drodze siedzibie ludzkiej — przeczekaliśmy nawalnicę, poczem zaczęliśmy wstępować pod górę, trzymając się czerwonych znaków, któremi od tego miejsca począwszy wyznaczona jest „Kammwanderung" przez całe Alpy Fogaraskie, zabierająca 6 dni czasu (omijając po większej części szczyty). Granią boczną przez Virfu Vacariei podszedłszy pod grzbiet, którym biegnie już granica Rumunii rozłożyliśmy się na nocleg; nie mając wody, gotowaliśmy herbatę z obficie leżącego wszędzie gradu.

Nazajutrz wędrowaliśmy już grzbietem głównym, który jakkolwiek nizki jeszcze w tem miejscu i trawiasty szybko wznosił się do góry, nabierając coraz dzikszego charakteru. Nocowaliśmy już w skalnem otoczeniu nad jeziorem Urlea, na wysokości 2250 metrów. Była to pierwsza z szeregu nocy spędzonych bez ognia pod kamieniem, albowiem prócz skąpej trawy i rododendronów nic więcej tam nie rośnie; noc zimna, ale wspaniała, o niebie cudownie wyiskrzonem; niestety w dwadzieścia cztery godzin później, w podobnem położeniu mieliśmy moknąć! Krystaliczne pasmo, na którem się znajdujemy wzięło imię od miasta Fogarasz, stolicy komitatu tej samej nazwy. Począwszy od Przełęczy Zerna nie obniża się ono nigdzie mniej jak do 2150 m., na przestrzeni 40 kilometrów, a wszystkimi szczytami sięga ponad 2400, przebiegając prawie prosto w kierunku wschodnio-zachodnim i wysyłając mało co niższe odnogi na obie strony; najwyższe szczyty tkwią jednak w grani głównej. Od północy wznoszą się góry gwałtownie z szerokiej doliny Aluty, tak, że w odległości 10—12 km., od dna doliny osiągają już najwyższe wzniesienie, a stojąc na szczytach widzi się pod sobą, 2000 m. niżej wsie i miasta, zaś w dali sinieją wały wzgórz środkowo-siedmiogrodzkich. Potężne ściany opadają ku wysoko położonym dolinkom, w których wśród piargów błyszczą stawy, pawie oczy; ściany te, pyszne krajobrazowo, kryją w sobie niejeden problem taternicki pierwszorzędnej wartości.

Inny charakter mają stoki południowe; wprawdzie i tam widać i jeziorka i skały i płaty śniegów, ale bujna trawa chwyta się najmniejszego występu, przez co zdaleka zielenieją już stoki, tracąc swój dziki charakter. Mimo to wyznaczona przez S. K. V. droga obchodząc szczyty musi się obniżać nieraz i dwieście metrów poniżej grani, trawersowanie bowiem w równym poziomie przedstawiałoby za wielkie trudności. Szlak ten, wyznaczony czerwoną farbą, wyszukuje najłatwiejsze przejścia i jest rzeczywiście dobrze poprowadzony — znaczenie tylko pozostawia trochę do życzenia i nie wystarczając do prowadzenia, może służyć tylko do oryentacyi od

czasu do czasu; upatrując jednak już zdaleka miejsce, którędy byłoby przejść najlepiej, zawsze znajdowaliśmy tam później nasze znaki. Widok ku południowi jest nieograniczony; jak daleko okiem sięgnąć ciągną się zielone pasma przedzielone głębokiemi dolinami, o niezmiernie ostrych stokach. Cały krajobraz jest przeto bardzo urozmaicony, stojąc bowiem np. pod Negojem jest się w otoczeniu dzikich turni, daleko sięgających na wschód i zachód, dolinę ma się ku północy, a zaokrąglone, jakkolwiek potężne grzbiety na południu.

Porządek wędrówki naszej wyrobił się z czasem następujący. Wstawaliśmy między 3 cią a 4-tą zrana i posiliwszy się obficie wyruszaliśmy między piątą a szóstą. Szliśmy zwykle mniejwięcej według czerwonych znaków, wybierając sobie dziennie jeden lub dwa szczyty, na które wychodziliśmy. Już przed 6 tą wieczorem szukaliśmy miejsca na spoczynek, schodząc do któregoś ze stawów po północnej stronie, gdzie łatwiej znaleźć było zaciszne miejsce wśród kamiennych złomów. Tak wstąpiliśmy na Galacescul (2475) przypominający nam od południa Furkot z Przełęczy Furkotnej; gdy od północy opada potężnemi wspaniałemi ścianami! Podobny charakter posiada też Coltul Vistei mari (2526) o długim a ostrym, poprzecznym grzbiecie, którego granią wschodnią wchodziło się jak jak po wysokich schodach. Zachwyciła nas Venatórea lui Buteanu (2508), łatwo dostępna od południa, a opadająca niedostępnemi ścianami z trzech innych stron. Najpiękniejszy jednak dzień był ten, który poświęciliśmy wyjściu na Negoj.

Wczesnym rankiem wyszliśmy z nad jeziora Buleii, gdzie spędziliśmy noc w kolebie skalnej (stoi wprawdzie nad jeziorem porządne z kamienia zbudowane schronisko o żelaznych drzwiach i okiennicach, lecz było ono ze wszystkich stron zamknięte). Pogoda była niepewna, we mgle przeszliśmy szczyty Laitii (2405), i Laitelul (2403); rozwidniło się dopiero gdyśmy stanęli nad jeziorkiem Caltun, u stóp czarnych ścian Lespedii (2528). Nad jeziorem wznosi się przełączka, z której już zblizka zobaczyliśmy we mgłach szczyt Negoja. Robi on rzeczywiście wrażenie króla tych gór, wystrzelając groźnemi ścianami z niezmiernie dzikiego kotła skalnego Strunga Dracului. Czerwone znaki wiodą u stóp skał, przejścia, w niektórych miejscach nienajlepsze — ułatwiają dobre chwyty. Po pewnym czasie zwracamy na lewo, opuszczając szlak wytyczony, aby jednym z licznych kominów przerzynających płyty wydostać się na grań południowo - wschodnią Negoja, która się zapowiada bardzo interesująco. Wchodzimy w komin stromy, dość wygodny, choć wymagający uwagi w wspinaniu się, miejscami jednak tak wązki, że zaczepiamy o skały naszymi workami. Stajemy na przełęczy, która jest, o ile możemy ocenić, najniższą między Negojem a Lespedii, a odznacza się dość wielkim płatem śniegu po południowej stronie, nazywamy ją też Śnieżną Przełęczą (Schnee-Scharte w zapiskach, któreśmy pozostawili, niestety o postawieniu kopczyków pomyśleliśmy dopiero na ostatniej turniczce przed szczytem). Począwszy od tego miejsca grań wznosi się statecznie najpierw wielkim stopniem, potem łagodnieje, wreszcie znów ostro w górę. Z początku wiążemy się, następnie jednak uznajemy, że lina jest niepotrzebna, mimo, że przejścia są bardzo ładne, miejscami ekspozycya znaczna ku Strunga Dracului. Przypominam sobie miejsce, gdzie nogi na stromej płycie nie znajdowały stopnia, tak iż należało przesunąć się na rękach, gdzieindziej przewieszka wymagała podciągnięcia się. Cała droga jest bardzo zajmująca. Postawiwszy kopczyk z opisem drogi wewnątrz, na najwyższem wzniesieniu grani przed Negojem zeszliśmy po niebardzo nachylonej płycie (gdzie drugi kopczyk) na małą przełęcz, tam napotkaliśmy

znów czerwone znaki. Drogę naszą porównywać możemy z granią Buczynowych Turni trudniejszym szlakiem, podczas gdy zwykła droga wychodzi kominem podobnym nieco do znanego komina pod Granatami. Stamtąd już parę minut do podługowatego, płaskiego szczytu. Wspaniały, rozumie się samo przez się widok, jaki roztacza się z góry przysłaniały nam włóczące się bokami chmury; przykuwa oczy przedewszystkiem piękna ze wszystkich stron Venatorea i bardzo groźnie przedstawiający się, czarny, Lespedii. Prędko jednak ogarnęła nas jasna piekąca mgła, która sprawiła, że na noc popuchły nam twarze i ręce; otoczeni nią schodzimy na północ, po grubych maliniakach, później drogą wyrobioną starannie w zboczach Vrf. Serbotii do schroniska „Negoi-Schutzhütte S. K. V." leżącego w ładnem miejscu na wysokości 1546 m i dalej porządną, niemożliwie się dłużącą ścieżką „Carl Wolff-Weg" już w dolinę, gdzie w gajówce znajdujemy pierwszy po pięciu dniach, jakie minęły od opuszczenia Plaiul-Foi, nocleg pod dachem.

Następnego dnia w niedzielę, zawiózł nas chłopski wózek do odległego o 30 km. Sybinu. Góry skryły się za chmurami; widzieliśmy zato ciekawe wsie rumuńskie i saskie, które wyglądają jak miasteczka, wielkie i zamożne, nierzadko elektrycznie oświetlone; mimo to wszystkie zachowały stary charakter i swój styl, nawet w nowych domach. W środku wsi wznosi się kościół wyglądający jak forteca, z murem i wązkiemi jak strzelnice oknami. Sybin sam także zachował bardzo dużo starych ulic i budowli, jasny, z zielonemi żaluzyami we wszystkich oknach i schludny — wywiera bardzo miłe wrażenie na zwiedzającym. Pół dnia poświęcamy na zwiedzenie słynnego przełomu Aluty: Czerwonej Wieży i robimy zakupy na drugą część naszej wycieczki.

Całego dnia jazdy koleją potrzebujemy, aby się dostać do miasteczka Hatszeg, skąd końmi dojeżdżamy do wioski Riu de mori leżącej u stóp Retyezatu. Pasmo to połamane we wszystkich kierunkach zbudowane jest, jak Alpy Fogaraskie ze skał pierwotnych, występuje tu mianowicie siwy, podobny do tatrzańskiego, granit. Najwyższym szczytem jest Vrf. Peleaga sięgający 2511 m., po niej idzie 2502 m. wysoki Vrf. Papusii, a dopiero trzecie miejsce zajmuje Retyezat z 2484 metrami. W licznych dolinach kryje się mnóstwo stawów, z których największe Jezerul Bucurei — Jezioro Radości — dorównywa wielkością Wielkiemu Stawowi z Pięciu Polskich. Charakterystyczne dla tej grupy są wielkie piarżyska, pokrywające całe stoki, a nawet ostra północna grań szczytu Bucury zbudowana jest z olbrzymich bloków; zresztą jednak nie ustępują te góry w niczem górom Fogaraskim choć są prawie zupełnie niezwiedzane; nie posiadają ścieżek, ani schronisk. Stanąwszy w Riu de mori udaliśmy się do leśniczówki z prośbą o nocleg. Leśniczy, młody Węgier, jakkolwiek noclegu dać nie mógł i odesłał do karczmy, przyjął nas uprzejmie wydał kartę, bez której wstęp w góry tamtejsze wzbroniony, wyznaczył jednak ściśle drogę, której się mamy trzymać i niepozwolił na zejście w dolinę Bucury, ze względu na polowanie na kozice. Wdzięczni byliśmy i za to. Nazajutrz zatem wyruszyliśmy w górę doliną Riusorul, strzeżoną u wejścia przez ruiny zameczku Kolczvár na wysokiej skale, i doszliśmy na wieczór do skrytego wśród piargów zupełnie jeziorka na wysokości 2050 m., gdzie wypadło nam zanocować. Przed nami wznosiła się na 400 z góry metrów północna ściana Retyezatu, którą chcieliśmy próbować wejścia dnia następnego. Bielz w przewodniku swoim nazywa ją niedostępną, ale odrazu widzieliśmy, że w głównych zarysach droga jest możliwa, a chodzić może jedynie o pokonanie nie wielu szczegółów. Uwagę naszą zwrócił na siebie wielki żleb mniej więcej w środku ściany

biegnący prawie pionowo; u góry rozgałęział się i jedna z jego odnóg gubiła się pod samym szczytem. Z dołu jednak żleb ten był podcięty i spadał na kilkudziesięciometrowe gładkie płyty, zajmujące całą lewą stronę ściany (po lewej ręce patrzącego). Natomiast z prawej strony piargi podchodziły dość wysoko, prawie pod same półki trawiaste, zachodzące nad dolne partye skał i sięgające niemal po żleb, oddzielone jednak grzędą od niego. Chodziło więc o dostanie się do żlebu, którędy wyjście wydawało się możliwe, a do celu tego miały posłużyć owe półki trawiaste; największa zaś trudność polegała na przedostaniu się od nich do żlebu. Samo pokonanie ściany przedstawiało się następująco:

Wyszliśmy o 5·15. Po złomach skalnych idziemy obok jeziorka, kierując się tam, gdzie po południowej jego stronie wysoko podchodzący stożek piarżysty (na prawo od skał) znaczy się białą smugą kamieni wzdłuż potoku spływającego z pod śniegu. Po prawej (orograficznie) jego stronie wchodzimy w skały, parę metrów wązką i płytką rynną i wydostajemy się na pole trawiaste, którem podchodzimy w lewo w górę, aż do ujścia bardzo stromego i wązkiego komina (niewidocznego z dołu), odznaczającego się białą plamą w środkowej części, po prawej naszej ręce. Wspinamy się nim z początku stopniami i piargiem i tak dochodzimy do środkowej jego części około 25 m. wysokiej, którą tworzy komin tak wązki, że z workiem się weń nie mieścimy, prawie prostopadły i przechylony ku lewej stronie. W dolnej części znajduje się przewieszony głaz. Po lewej ręce ogranicza go bardzo stroma jednolita płyta o skąpych chwytach, po prawej przewieszona zupełnie gładka ściana.

Gdyśmy stanęli pod wiszącym głazem, Cz. przechodzi po moich plecach wyżej, zostawiając worek i zapieraniem się, przechodzi tę część komina. Potem ja asekurowany, wychodzę płytą ze swoim workiem na półki ponad nim i ubezpieczam go z kolei. Gdyśmy się złączyli rzucamy drugą linę. Przewiązuje się mój brat i wolny worek; brat pomagając workowi wychodzi kominem, wreszcie G ścianą. Kopczyki stawiamy jeden u wejścia w skały, drugi poniżej komina, trzeci nad środkową jego częścią. W dalszym ciągu tworzą komin strome stopnie przetykane trawami. Po nich wychodzimy do owego wielkiego żlebu, idącego z pod szczytu, jestto mniej więcej połowa wysokości ściany. Grzędą po lewej ręce, a następnie skałami tworzącemi stopnie i kominki wydostajemy się wprost na szczyt Retyezatu (godz. 9·40). Dalsze kopczyki stawiamy u wejścia w żleb i pod samym szczytem. Szczyt płaski utworzony z głazów i trawy.

Widok ze szczytu jest bardzo ładny, nie czekamy jednak długo, lecz schodzimy granią południową na przełęcz a następnie po wielkich głazach na Bucurę (2436). Ledwieśmy się po niżej niego rozłożyli na obiad chmury kotłujące się od dawna w dole ogarnęły grań i puścił się deszcz, prześladujący nas już prawie bez przerwy do wieczora. We mgle utrudniającej bardzo oryentacyę wchodzimy bez żadnych trudności na Peleagę i schodzimy następnie kamienistem zboczem, na którem od dołu przeglądała miejscami glina nad leżące wśród łąki jezioro Peleaga (2122), gdzie początkowo zamierzaliśmy przenocować. Okazuje się to jednak w obecnych warunkach niemożliwe i przemoczeni mimo naszych płaszczów idziemy dalej. Szczęśliwie mijamy wysoki próg doliny, którym spada wodospad; poniżej dolina się rozszerza, i o radości, słychać szczekanie psów. Juhas wskazuje nam „stinę“ na przeciwległym stoku; w godzinę stajemy i gościnnie zostajemy przyjęci na nocleg, choć spało tam już ze dwudziestu chło-

pów z żonami i dziećmi; wśród owczych skórek było jednak przynajmniej sucho i ciepło.

Na tem skończyła się właściwie wysoko-górska część naszej wycieczki. Następnego dnia szliśmy już szerokim trawiastym grzbietem, z którego tylko gdzieniegdzie wyglądały skały, noc wypadła jeszcze wysoko na grani pod murem z kamieni, ale rankiem zaczęliśmy się opuszczać w dolinę rzeki Czerny, by wzdłuż niej dojść do Herkulesbadu (Mehadyi) znanego uzdrowiska w południowych Węgrzech. Jest to dolina wapienna bardzo głęboka i wązka o prostopadłych gładkich ścianach, tak iż jedyne przejście jest korytem rzeki; narachowaliśmy raz w krótkim czasie szesnaście przejść w bród, z jednego brzegu na drugi. Poniżej zaś, gdzie dolina zaczyna być zamieszkała, ścieżka prowadzi o kilkaset metrów nad wodą, ponad nią zaś wznosi się jeszcze na drugie tyle nieprzerwany wysoki mur białych skał; miejscami dolina rozszerza się, miejscami zaś ściany zbliżając się zostawiają szczelinę parometrowej szerokości, w której woda płynie głębokim nurtem, drożyna zaś musi obchodzić daleko naokoło. Trzeciego dnia dopiero osiągnęliśmy Herkulesbad, gdzie zakończyliśmy naszą wędrówkę pieszą. Kołując jeszcze na Żelazną Bramę i Belgrad, przez Budapeszt wróciliśmy do Galicyi.

Nowe drogi.

Cubryna. Częściowo nowa droga z Dol. za Mnichem.

Podpisani 16. sierpnia 1908. Z najwyższego piętra Dol. za Mnichem, od miejsca, gdzie ze śniegu wypływa woda, biegnie duży, widoczny, wygodny zachód, którym łatwo wydostajemy się na grań północno-zachodnią (t. zn. tę, którą Cubryna wysyła ku Mnichowi II). Granią tą, okrążając ją przeważnie po stronie Doliny Piarżystej wyszliśmy na szczyt.

Droga łatwa, ale długa i niezajmująca, od Morskiego Oka w mniej więcej 4 i pół godziny. Adam Staniszewski. Stanisław Porębski.

Łomnica. I. wyjście wschodnią ścianą. 28. czerwca 1910, z bratem Romanem.

Wschodnią ścianę Łomnicy przerzyna środkiem żleb. Nie sięga on stóp ściany, lecz opada wysokim pasem płyt, ponad którym wprowadzają do żlebu z obu stron szerokie trawiaste zachody. Weszliśmy z lewej strony przez śnieg i łatwe turnie na lewy zachód i nim posuwaliśmy się w prawo ku żlebowi. Z drugiej od góry półki (20 min. od piargu) zeszliśmy kilka metrów w dół w żleb, tutaj całkiem rozwarty. Był on w tem miejscu prawie niemożliwy, toteż przeszliśmy w prawo nieco w górę po płytach (popod samą siklawą). Stąd w prawo od żlebu w zmiennem oddaleniu po stromych turniach, przez ścianki przegradzane trawiastami półkami. Zaraz z początku długi trawers w prawo trudną i niebezpieczną półką. Następnie przez kiepski u góry stopień na trawiastą płasienkę. Powyżej niższa ale równie trudna ścianka ze złem wyjściem na trawę (żywa drabina). Dalej w górę w prawo, nast. w lewo poprzez blok na trawiastą półkę. Nią kilka metrów w lewo potem w górę do niszy za odłupaną od ściany skałą. Z niej przekraczamy na ścianę i do góry na trawkę. Dalej zacięciem i przez kilka stopni. Krótkiem płytowem zacięciem wychodzimy jeszcze trochę wprost do góry (nad nami wpada w oczy jasna czerwona plama na ścianie turniczki wi-

dzialna już od stóp ściany). Następnie piękną półką trawiastą w lewo na dno żlebu, który osięgamy tuż powyżej urwiska na równem miejscu (śnieg; 2 godz.). Ponad nami zwraca uwagę wielka turnica wysterczająca ze żlebu i dzieląca go powyżej na dwie odnogi. Na prawo od wody wspinamy się po gładkich turniach mniejwięcej 20 m w górę, następnie trawers w lewo i przekraczając potok po czerwonej spękanej skale, w końcu trawiastem żebrem, dochodzimy do drugiego piętra żlebu (śnieg), u samych stóp wspomnianej turnicy (35 min.). Prawem ramieniem rozwidlającego się żlebu na stromo w prawo wiodącą półkę, która w końcu przechodzi w trudną rysę (45 min.). Nią nieco w górę, potem w lewo ku żlebowi. Nieco w prawo wznosząc się do 2½ metrowej, gładkiej ścianki, przez którą z pomocą żywej drabiny przedostał się pierwszy; drugi przeszedł w lewo w żleb i dostał się do pierwszego przez gładkie ociekające wodą skały. Po gładkich turniach wychodzimy do kotła wypełnionego śniegiem (50 min.). Nad nim wznosi się owa wpadająca w oczy turnica. Na prawo od niej na żebro, idąc w prawo stromą trawiastą półką, która wreszcie urywa się. Kilka metrów od jej końca, wspinamy się kilka metrów na maleńką trawkę. Nad nią 2 metrowa wybrzuszona ścianka (bardzo trudne); nieco w prawo trawiastą półką poczem krótkie ale trudne zacięcie. Tutaj zwróciliśmy się w lewo i dostaliśmy się w pobliże rynny, która wgłębia się między żebrem, którem się wspinamy a wspomnianą turnicą. Rynna ta wychodzi w górę na przełączkę w grzędzie ciągnącej się z góry, której najniższe piętro tworzy owa turnica. Na prawo od rynny trawiastemi półkami stromo do ostrego wcięcia w żebrze, leżącego w prawo od poprzedniego ale około 10 m. wyżej. Nakrywa je kamień, pod którym się czołgamy (1 godz.). Z tamtej strony dążymy grzbietem rozszerzającego się tutaj żebra, wspinając się łatwo po blokach i dochodzimy wkrótce do zwykłej drogi, która tu przechodzi żebro (30 min.). (Wschodnia ściana Łomnicy nie sięga bowiem do samego wierzchołka, lecz przechodzi w końcu w około 200 m wysokie łatwe turnie szczytowe, mniej pochyłe). Drogą dochodzimy w 20 min. na szczyt (5·30 popoł.).

Wschodnia ściana Łomnicy posiada — jak południowe i wschodnie ściany tatrzańskie wogóle — bujną wegetacyę. Również nie jest ona (podobnie jak pn. ściana Mięguszowieckiego) zamkniętą w sobie, gdyż w górze można z niej wydostać się w bok na lewo. Stosownie do terenu robiliśmy drogę w butach, tylko w dwu najtrudniejszych miejscach użył pierwszy z idących trzewiczków. Droga całkowicie trudna i męcząca. W dolnych częściach jest teren eksponowany i (z powodu traw) bardzo niepewny. W żlebie wspaniałe otoczenie skalne.

Kiezmarski Szczyt. Wyjście od płd. zachodu. 11 września 1910.

Mając zamiar wyszukać na Szczyt Kiezmarski rzeczywiście zajmujący a przytem także dla większości turystów dostępny szlak, wyszedłem nań drogą, której części z osobna były już wprawdzie pierwej robione, ale która w całości w każdym razie przedstawia nową drogę na ów szczyt. Szlak ten wiedzie od kotła Lejkowego Jeziorka przez Cmentarz na przełęcz między Szczytem Kiezmarskim a Wschod. Szczytem Wideł (Kiezmarska Przełęcz w Widłach) a stąd granią zachodnią dalej na szczyt. Z kotła (wyschniętego) Jeziorka Lejkowego przyjemne podejście trawą przetykanym stokiem aż pod stopień poniżej Cmentarza. Wychodzimy nań na lewo od wody, wejście przy wystającej ostrodze skalnej. Następnie zakosami w górę. W pobliżu brzegu Cmentarza lepiej jest przejść wodę w prawo i z drugiej strony osięgnąć dno kotła (20 min. od wejścia). Z kotła zwróciłem się w prawo idąc częścią przez gładkie stopnie, częścią piargiem (do połowy lipca jest zwykle jeszcze cały Cmentarz wypełniony śniegiem i tworzy wtedy jeden stromy stok) w kierunku owej prosto wciętej płytowej rynny, która ciągnie się w górę do Kiezmarskiej Przełęczy w Widłach. Zaraz z początku przez zaklino-

wany blok. Następną część obszedłem na lewo po stopniach (nb. rynna dałaby się w całości przejść, ponieważ jednak wówczas płynęła nią obficie woda, unikałem z tego powodu — gdzie się tylko dało — jej dna. Kilka metrów poniżej początku płyty przeszedłem znów w prawo w rynnę. Po kilku metrach tworzy ona około 4 metrową rysę, w którą wchodzi z lewej strony przewieszka; tą rysą w górę. Zaraz potem wychodzę znowu nazewnątrz na prawe płyty. Niemi jak daleko się dało, następnie znów na lewo w głąb żlebu. Częścią nim (wspierając się na zaklinowanym ostrym trójkątnym kamieniu wprost do góry), częścią w równoległem zacięciu na prawo leżącem. W końcu pod przewieszką znowu w lewo do żlebu i po łatwych ale kruchych turniach do wązkiej szczerby Kiezmarskiej Przełęczy w Widłach. (1 godz. 40 min.). Teraz — zwróciwszy się w prawo — częścią półkami biegnącemi poniżej niej od północy, częścią granią na Szczyt Kiezmarski (20 min.).

Droga powyższa również pod względem krajobrazowym bardzo piękna — daje w większej części sposobność do zajmującej spinaczki, której trudności jednakże (z wyjątkiem kilku miejsc w żlebie) nazwać trzeba miernemi.

Dr. Gyula Komarnicki.

Wycieczki członków Sekcyi Turystycznej w r. 1909.

(Dokończenie)*).

(Objaśnienie: Nazwy poprzedzone gwiazdką * oznaczają wycieczki z przewodnikiem, inne bez przewodnika; „prz." = przejście, oznacza zwiedzenie szczytu odmiennemi drogami w wyjściu i zejściu; „Z." oznacza wyjście zimowe (nie na nartach) w czasie od 1. grudnia do 30. kwietnia; „N." wycieczkę narciarską; „sam" wycieczkę samotną; kreska łączy wyjścia jednego dnia dokonane. „pn." = północny, „płd." = południowy, „wsch." = wschodni, „zach." = zachodni).

Dudryk Maksymilian, Korneuburg. 1908: Ilsa (N.), Howerla (N.), Trościan (N.), Wysoki Werch (N.), Paraszka (N. dwukrotnie), Gorgan — Syniak (I. N. prz.) Płaj (N), Pożyżewska (I. N.) — Munczel (I. N. prz.) — Pop Iwan (I. N. prz.), Czolakin (I. N. prz.) — Czywczyn (I. N. prz.), Stoj (I. N. prz.), Temnatik (I. N. prz.), Bliźnica (N.) — Stik (I. N. prz.) — Tatulska (I. N. prz.) — Trojaska (I. N. prz.) — Tataruka (I. N. prz.), Bratkowska (I. N.) — Mała Bratkowska (I. N. prz.) — Czarna Klewa (I. N. prz.), Vrf. Pietros (prz.), Vrf. Rebri, Czywczyn, Pop Iwan — Howerla, Kościelec (prz.) — Zawratowa Turnia — Niebieska Turnia, Mięguszowiecki nad Czarnym, Ganek, Rysy — Zawrat, Mnich — Mnich II, Krywań, Niebieska Turnia, Mury Liptowskie.

1909. Howerla (N. prz.), Pietros (N. prz.), Trościan (N.), Bratkowska (N), Tataruka (N.) — Trojaska (N.) — Stik (N.) — Menczul (I. N. prz.), Trościan (N.), Ostry Werch (N.), Ilsa (N.), Paraszka (N.), Sywula (I. N.), Przełęcz Seredny Groń (I. N. prz.), Trościan (N.) — Orszowec (N.) — Pliszki (N.), Trościan (N.) — Kiczera (N.) — Hołycia (N.), Trościan (N.) — Orszowec (N.), Stoj (N.), Jawornik (I. N. prz.), Kiczera (N.), Szezul (I. N. prz.) — Pietros (N, prz.), Stój, Thörl (N) — Jakobskogl (N.), Scheibwaldhöhe (N.) — Gr. Kesselgraben (N.), Sonnwendstein (N).

Jerominówna Wanda, Warszawa: Kościelec (prz.) — Zawratowa Turnia. Kozi Wierch (I. w. od pn., prz.), Wrota Chałubińskiego — Zawory — Liljowe, Przełęcz Mięguszowiecka, Wysoka (pd. granią) — Smoczy Szczyt (pn. zach. granią, nowa droga) Żabi Koń (prz.), Środkowy Szczyt Mięguszowiecki (prz.), Mnich (III. prz. pn. ściany), Wyżnia Przełęcz Mięguszowiecka (I. w. od pn.) — Mięguszowiecki (III. w. od wsch., prz.), Zawrat — Kozia Przełęcz (granią).

Maślanka Jerzy, Lwów: Bliźnica (pn. wierzchołek, N.), Batyżowiecki Szczyt (I. Z.), Dwoisty Szczyt (prz.) — Granacka Turnia (prz. I. Z.) — Śląska Turnia (I. Z.), Żłobisty Szczyt (I. Z.), Kościelec (prz.) — Zawratowa Turnia (prz.) — Swinica (prz., sam.).

*) Patrz Nr. 1. str. 15.

Smoluchowski Maryan dr., Lwów: Sonnwendstein (N.), Pinkenkogel (N.) — Ochnerhöhe (N.), Sewula (N.), Kopa Magóry (N.), Beskid — W. Kasprowy — Pośredni Goryczkowy (N.), Kopa Kondracka — Giewont (N.), Sarnia Skała — Przełęcz na Patykach (N.), Balmhorn, Doldenhorn, Blümlisalphorn, Tschingellochtighorn, Oberaarjoch — Rothornlücke, Finsteraarhorn — Grünhornlücke, Jungfrau, Lötschenlücke, Lauterbrunner Breithorn — Petersgrat, Dündenhorn — Bundstock (sam), Sigriswyler Rothorn.

Sprawy Sekcyi.

Protokół z VIII. zwyczajnego Ogólnego Zgromadzenia członków Sekcyi Turystycznej, odbytego w Zakopanem dnia 21. sierpnia 1909, w sali Dworca Tatrzańskiego,

Początek Zgromadzenia o godz. $10^1/_2$. Obecnych członków 23.

Przewodniczący dr. Z. Klemensiewicz zagajając posiedzenie poświęca gorące wspomnienia ś. p. Szulakiewiczowi i K. Bachledzie, przyczem zgromadzeni przez powstanie uczcili pamięć Zmarłych. Podnosi ich zasługi w taternictwie, zaznaczając, że w najbliższym numerze Taternika ukażą się obszerne wspomnienia, poświęcone Zmarłym. Przy tej sposobności wykazuje bezpodstawność zarzutów i napaści niektórych dzienników na taternictwo i Sekcyę Turystyczną, z powodu ostatnich wypadków w Tatrach, oraz gorąco zachęca członków do jaknajliczniejszego przystępowania do Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego.

Protokół z ostatniego Ogólnego Zgromadzenia przyjęto bez odczytania, ponieważ był drukowany w Taterniku.

Następnie zdał Przewodniczący sprawozdanie z działalności Zarządu. Głównym zadaniem Zarządu było wydanie pism św. pam. Karłowicza, ponieważ zaś koszta wydawnictwa przenoszą 3000 K, należy energicznie zająć się rozsprzedażą, by uniknąć deficytu. Sprawa przewodników została w tym roku ostatecznie uregulowaną przez przejście nadzoru nad przewodnikami w ręce starostwa. Wydawaniem książeczek i blach zajmuje się specyalna Komisya, do której Sekcya deleguje dwu członków. Obok tego załatwił Zarząd szereg spraw administracyjnych. Zastępca skarbnika W. Kulczyński odczytał sprawozdanie kasowe. W dyskusyi zabierali głos pp. Drewnowski, Komornicki, Żuławski i Przewodniczący.

Uchwalono przedłożony przez zast. skarbnika preliminarz budżetu na r. 1910 poczem na wniosek prof. M. Smoluchowskiego udzielono ustępującemu Zarządowi absolutoryum.

Imieniem ustępującego Zarządu przedstawia Przewodniczący następującą listę nowego Zarządu:

Dr. Zygmunt Klemensiewicz — przewodniczący, Teofil Janikowski — zastępca przewodniczącego, Wacław Czerwiński, dr. Stefan Komornicki, Roman Kordys, Władysław Kulczyński, Mieczysław Świerz, Aleksander Znamięcki, dr. Jerzy Żuławski — członkowie Zarządu. Po dyskusyi nad sposobem głosowania, głosowano kartkami i przyjęto wymienioną listę.

Do Komisyi Kontrolującej wybrano przez aklamacyę pp. K. Drewnowskiego, prof. M. Smoluchowskiego i M. Zaruskiego.

Sprawozdanie Komitetu budowy schroniska im. M. Karłowicza złożył sekretarz Komitetu pani W. Jankowska. Nad sprawozdaniem wywiązuje się dłuższa dyskusya; p. Czerwiński sądzi, że należałoby już teraz zastanowić się nad miejscem, w którem ma stanąć schronisko, nabycie bowiem gruntu i roboty przedwstępne zajmą bardzo dużo czasu; z tego powodu stawia wniosek, by Ogólne Zgromadzenie wybrało subkomitet, któryby się zajął robotami przedwstępnemi oraz zastanowił nad miejscem dla schroniska. W dyskusyi zabierają jeszcze głos pp.: Jankowska, Komornicki i Staniszewski, który zapytuje,

czy schronisko nie mogłoby stanąć po stronie węgierskiej. Przewodniczący oświadcza w odpowiedzi, że byłoby to korzystnem, o ile byśmy po naszej stronie posiadali dość schronisk, pozatem — ze względu na odległość — zaprowiantowanie takiego schroniska napotykałoby na wielkie trudności. Zgromadzenie uchwaliło wniosek p. Czerwińskiego i wybrało do subkomitetu p. p.: W. Czerwińskiego, dr. J. Nowickiego, M. Zaruskiego i dr. J. Żuławskiego.

Przystąpiono do wniosków i interpelacyj. Imieniem Zarządu uzasadnia Przewodniczący następujący wniosek: Ogólne Zgromadzenie raczy uchwalić p. A. Znamięckiemu za niezwykle wydatną i niestrudzoną pracę około przysporzenia funduszu budowy schroniska im. Karłowicza, a zwłaszcza za zorganizowanie ostatniego Koncertu podziękowanie. Wniosek uchwalono jednogłośnie.

Ponieważ nikt nie zgłosił innego wniosku ani interpelacyi, Przewodniczący zamyka zgromadzenie o godz. 12³/4, dziękując za współudział w obradach i życząc członkom powodzenia w wyprawach tatrzańskich.

W. Czerwiński. sekretarz. *Dr. Klemensiewicz.* przewodniczący.

Zarząd Sekcyi ukonstytuował się na posiedzeniu odbytem w Zakopanem dnia 21. sierpnia 1910 w sposób następujący: sekretarz W. Czerwiński, zast. sekretarza M. Świerz, skarbnik A. Znamięcki, zast. skarbnika W. Kulczyński, bibliotekarz St. Komornicki, zast. bibliotekarza J. Żulawski.

Nowi członkowie Sekcyi Turystycznej. Zarząd Sekcyi przyjął następujących nowych członków: pp. Wandę Herse, Pawła Kittaya, Zofię Królową, Jadwigę Roguską, Władysławę Jankowską.

Członków zalegających z wkładką uprasza Zarząd o nadesłanie tejże do końca b. m. (Adres skarbnika: Wł. Kulczyński, Kraków, Niecała 1).

Z sezonu.

Tegoroczny sezon tatrnicki, jakkolwiek bardzo długi (robiono trudne wycieczki już od połowy maja), nie był jednakże zbyt ożywiony, głównie dla okropnych warunków atmosferycznych, które nawet słynną słotę z 1908 r. daleko zostawiły w tyle. Ponadto liczba nowych przejść — jak to było do przewidzenia — znowu się zmniejszyła w porównaniu z rokiem ubiegłym, świadcząc dobitnie o wyczerpywaniu się problemów tatrzańskich. Pozatem jeszcze wybitniej, niż w roku zeszłym daje się zauważyć zamiłowanie do tego rodzaju wycieczek, które dają pole do efektownej i technicznie trudnej, lecz krótkiej spinaczki i nie wymagają wysiłku wszystkich zdolności taternickich. Licznemi odwiedzinami cieszyły się więc przedewszystkiem krótkie graniówki i mniejsze ściany.

„Najmodniejszą" wycieczką była Niebieska Turnia granią wschodnią; robiono ją kilkanaście razy. Także Mięguszowieckie granią i Batyżowiecką Grań wielokrotnie powtórzono, niemniej Żabiego Konia, tak granią jak i ścianą południową. Gierlach od Polskiego Grzebienia, zwiedziły dwie partye węgierskich turystów. Kilka partyi przeszło zachodnią ścianę M. Kończystej.

Poniżej wymieniamy nowe i inne ważniejsze wycieczki w chronologicznym porządku.

13/VIII. Gy. i R. Komarniccy i H. i O. Schweickhart'owie przechodzą granią od Baraniej Przełęczy na Durny.

14/VIII. L. K. Horn i G. Szépligeti przechodzą niezwiedzoną grań Turni ponad Ogród.

K. Piotrowski i M. Świerz zwiedzają 18/VIII. pn.-zachodnią grań Świstowego

Szczytu, od Świstowego Rogu (I. przejście). 19/VIII. Ci sami robią całkowite przejście grani z Małego Lodowego na Pośrednią Grań, w tem poraz pierwszy Spągę od Czerwonej Ławy. Następn. dnia wychodzą na Ostry Szczyt od południa z przejściem całej rysy.

19/VIII. Aleksandrowicz, Grabowski i A. Staniszewski wychodzą na Zawratową Turnię od pn.- wschodu. I. wyjście.

29/VIII. wyszli Z. Czerny, J. Czerwiński i St Komornicki z J. Marusarzem i St. Byrcynem jako pierwsi na Krywań od Koryta.

30/VIII. Powtarzają W. Kulczyński i M. Świerz pn.-zach. ścianę Małej Wysokiej.

9. września zwiedził O. Mahler pn.-wsch. grań Czubatej Turni (po niemiecku Egenhoffersp).

F. Kienast i W. Wanjura wyszli na Hlińską Turnię, jako pierwsi wschodnią ścianą.

A. Pogacznik i tow. zeszli z Kopy Lodowej nową drogą ku Pięciu Stawom.

11/IX. Wychodzi Gy. Komarnicki na Kiezmarski Szczyt z Cmentarza.

12/IX. Zeszli L. K. Horn i A. Plöckl ze Śnieżnego Szczytu część nową drogą. Następnego dnia przeszli ci sami z Gy. Komarnickim granią ze Sławkowskiego na Staroleśną.

15/IX. Przechodzą H. Bednarski, J. Lesicki, K. Piotrowski i M. Świerz poraz pierwszy pn. grań Żabiego Mnicha.

M. Zaruski i tow, zwiedzili w końcu września grań Apostołów w Żabiem.

Notatki.

Z Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w Zakopanem otrzymujemy następujący komunikat:

Ze względu na fałszywe wieści, rozsiewane przez ludzi lekkomyślnych albo złej woli o akcyi Straży Ratunkowej Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego na wyprawie po śp. Stanisława Szulakiewicza i śp. Klimka Bachledę w Jaworowe Turnie w dn. 6. do 16 sierpnia br. Zarząd Towarzystwa na żądanie naczelnika Straży Ratunkowei Maryusza Zaruskiego na posiedzeniu dn. 25. sierpnia rb. uchwalił przeprowadzić śledztwo w sprawie wymienionej wyprawy. Do Komisyi śledczej zostali zaproszeni nie należący do Zarządu Towarzystwa pp. Dr. Władysław Kulczyński, członek Akademii Umiejętności w Krakowie, Dr. Antoni Kuczewski, lekarz Domu Zdrowia „Pomoc Bratnia“ w Zakopanem, Dr. Maryan Smoluchowski, profesor Uniwersytetu we Lwowie, Komisya śledcza ukończywszy swe prace, ogłasza co następuje:

Zakopane, dnia 29. sierpnia 1910 r.

Podpisani, wezwani przez Zarząd Pogotowia Ratunkowego do zbadania przebiegu ekspedycyi ratunkowej w dniach 6. do 16. bm., przesłuchawszy uczestników tej ekspedycyi, mianowicie: pp. M. Zaruskiego, H. Bednarskiego, P. Kittaya, Z. Klemensiewicza, J. Lesickiego, S. Zdyba, A. Znamięckiego, Janusza Żuławskiego, Jerzego Żuławskiego, Józefa Bachledę Klimkowego, W. Dzielawę, Stanisława Gąsienicę Byrcyna, Jędrzeja Jarząbka Marusarza, Jakóba Krzeptowskiego Wawrytkę, jego syna Józefa, Jana Peksę, Szymona Tatara, Wojciecha Tylkę Suleję, oraz p. K. Brzozowskiego, oświadczają niniejszem, że postępowanie naczelnika Pogotowia, p. M. Zaruskiego było bez zarzutu, owszem zasługuje na zupełne uznanie. Uratowanie śp. Szulakiewicza udaremniła niepogoda, tudzież wyczerpanie sił członków ekspedycyi, zmęczonych w najwyższym stopniu pracą w najfatalniejszych warunkach atmosferycznych w dniu 6. b. m. Powodem śmierci śp. Klemensa Bachledy były nie zarządzenia kierownika, lecz gorliwość w spełnieniu obowiązków, która go doprowadziła do samowolnego odłączenia się od towarzyszów i podjęcia kroków niemożebnych do wykonania. Zaniedbania w poszukiwaniu zwłok śp. Bachledy nie było; z chwilą, gdy stało się rzeczą wiadomą, że śp. Bachleda zginął, poszukiwania rozpoczęto i prowadzono w należyty sposób aż do znalezienia zwłok.

Dr. Wład. Kulczyński, Dr. Ant. Kuczewski,

Dr. Maryan Smoluchowski.

Wypadki w Tatrach. Tadeusz Mayer, uczeń VIII. gimn. ze Stryja uległ wypadkowi 17. sierpnia, wychodząc od Hali Kondratowej na grań Giewontu. Ciężko rannego znieśli do Kuźnic pp. Filasiewicz i Stupnicki. Dr. Gawlik stwierdził złamanie czaszki. Dokonano dwóch operacyj; chory pozostaje jeszcze w szpitalu zakopiańskim w stadyum rekonwalescencyi.

Alojzy Karlik z Brocewa i Vladymir Vonaček z Budziejowic, schodząc 20. sierpnia z Rysów na polską stronę, weszli — dla przyspieszenia zejścia — na śnieg zalegający znany żleb w Rysach (na pd. od grzędy).

Śnieg był twardy, toteż obaj utracili równowagę i wyrzuceni straszliwym pędem na głazy u podnóża żlebu — zginęli na miejscu. Ok. ½2 pop. znaleźli stygnące już zwłoki trzej turyści z Józefem Brzegą. Pogotowie Ratunkowe zajęło się zniesieniem zwłok do Morskiego Oka.

W ostatnim czasie otrzymaliśmy wiadomość, że poszukują zaginionego od 23. października Oskara Mahlera, profesora gimn. w Igławie. Wyruszył on samotnie, niewiadomo dokąd. Stracono nadzieję znalezienia go przy życiu.

Nasza ilustracya. Do bieżącego numeru dołączamy portret śp. Klimka Bachledy (zdjęcie J. Chmielowskiego) na pamiątkę.

Następny 6-ty numer „Taternika" wyjdzie 15. grudnia.

Z piśmiennictwa.

Jahrbuch d. Ungarischen Karpathenvereines XXXVII. 1910 jest najlepszym dowodem pomyślnego wyniku, jakim praca młodej i najmłodszej generacyi węgierskich taterników pochlubić się może. Wszak niedawniej jak przed dwoma laty Rocznik Węg. Tow. Karp. nie zawierał właściwie ani jednej pracy, któraby mogła zainteresować taternika, najnowszy rocznik całym szeregiem artykułów poświęconych Tatrom i taternictwu przynosi zaszczyt turystyce węgierskiej, której znakomitego rozwoju w ostatnich kilku latach świadkami jesteśmy. Zasługa w tem główna ruchliwego „Budapeszteńskiego Akademickiego Turyst. Towarzystwa", którego członkowie wnieśli nowe życie w pustoszejący gmach Węg. Tow. Karp. i pracami swemi podnieśli poziom rocznika wysoko ponad poziom lat ostatnich

T. Szaffki opis pierwszego zimowego wyjścia na Jastrzębią Turnię należy do tych — nielicznych dzisiaj niestety — opisów wycieczek, które tak treścią jak i formą potrafią żywo zająć czytelnika. Niemniejsze zalety posiada L. K. Horna opis pierwszego przejścia północnej ściany Szczyrbokiego Szczytu i O. Jordana wyprawa na Szczyt Ostry drogą spiskich przewodników. Przepojony gorącą miłością do gór i młodzieńczym zapałem R. Komarnickiego opis pierwszego przejścia grani Sobkowych Turni, daje nam obraz twardej ale i pełnej chwały walki z żywiołem górskim. I. Barcza naszkicował dwie nowe wyprawy, zejście z Łomnicy granią pn.-zachodnią i wyjście na Durny grzędą płd.-zachodnią. W jedynym artykule nietatrzańskim opisuje odważna samotniczka E. Löwy naukowe wycieczki swe w Alpach Rodneńskich. W dziale rozpraw widzimy początek cennej i gruntownej turystycznej monografii Doliny Złomisk, opracowanej przez Gy. Komarnickiego i J. Serényi'ego. Obejmuje ona Wysoką i jej granie boczne, Ganek i Rumanowy. Historyczna praca H. Seidel'a zapoznaje nas z osobą B. Hacquet'a, który będąc przez pewien czas profesorem uniwersytetu we Lwowie, badał pod koniec 18-go wieku Tatry i dużo o nich pisał. Zestawienie nowych dróg z r. 1909 przez J. Serényi'ego, w kilku drobnych szczegółach różni się od podanego w 2. N-rze Taternika. W rubryce drobnych wiadomości znajdujemy opis odsłonięcia tablicy pamiątkowej E. Wachter'a, recenzyę ze sprawozdania 1903—1909 B. A. T. T., Pamiętnika T. T. 1909 i Rocznika Węg. Klubu narciarskiego 1909. Ponadto zestawienie (niekompletne i błędne co do wycieczek polskich) z zimowych wypraw ubiegłej zimy.

Na zakończenie niech sprawozdawcy wolno będzie wyrazić życzenie, aby Redakcya Rocznika poświęciła w przyszłości także formie zewnętrznej wydawnictwa więcej troskliwości. Z trzech dodatków ilustracyjnych, wydanych — zdaje się większym kosztem — dwa nie posiadają najmniejszej wartości. Lepiej może byłoby zamiast nich postarać się o lepszy papier. Nie miałem sposobności czytać wydania węgierskiego, jednak w niemieckiem razi okropny język tłumaczeń i nędzna korrekta. Pięknemu obrazowi i ramy ładne się należą. *Z. K.*

Wypadki sierpniowe w prasie. Smutna katastrofa na Małym Jaworowym, dziesięć dni trwające poszukiwania dwóch ofiar, śmierć największego z przewodników polskich — wszystko to wstrząsnęło do głębi społeczeństwem i odbiło się głośnem echem w całej niemal prasie polskiej. Nie było dziennika, któryby nie przynosił mniej lub więcej obszernych korespondencyj z Zakopanego; tygodniki dostarczały zdjęć z akcyi ratunkowej (n. b. Nowości ilustrowane ogłosiły fotografie z ćwiczeń Pagotowia w Dolinie Strążyskiej, jako przenoszenie zwłok śp. Szulakiewicza), nawet osławiony Monitor (Lwów) skorzystał ze sposobności, aby biorąc asumpt ze śmierci śp. Szulakiewicza i pogrzebu jego — biadać nad niesprawiedliwością dzisiejszych stosunków społecznych.

Niektóre dzienniki, jak np. Słowo polskie (artykuły podpisane przez „Turystę" w Nr. 370 i 377) miały wiadomości od sfer dobrze poinformowanych; przeważnie jednak w korespondencyach opisujących katastrofę przebijała się łatwowierność, naiwność i skrajna w rzeczach taternickich ignorancya. Czytaliśmy, że śp. Szulakiewicz i towarzysz spadając zatrzymali się na... gałęziach drzew, — że „drogą, którą obrał Szulakiewicz, niemożliwe było wogóle dostać się na szczyt", że „dr. Komar-

nicki szedł raz tą drogą, lecz doszedł tylko do miejsca, z którego właśnie spadł Szulakiewicz" — że „Janusz Chmielowski, autor przewodnika po Tatrach, klasyfikuje to wyjście jako niezmiernie trudne" (Kuryer lwowski, nr. 369) itd. itd.

Nie brak też było j odjawów złej woli. Parokrotnie spotykaliśmy w dziennikach najzupełniej nieprawdziwe wiadomości, jakoby górale zaczynali się burzyć i wrogo się odnosić do „inteligentów", oraz jakoby przewodnicy gromadnie składali „blachy" przewodnickie... Miał ktoś widocznie interes w szerzeniu podobnych pogłosek.

Powszechne zainteresowanie się wypadkami w Tatrach wywołało też w prasie naturalnym biegiem rzeczy wiele zastanawiań się na temat przyczyn katastrof górskich i sposobów ich uniknięcia. Przeważnie widziano przyczynę katastrofy w lekkomyślności i brawurze. Żądano „kontroli nad turystami" (Kuryer warszawski nr. 222) — „wydania przez odpowiednie władze zakazu wchodzenia bez przewodników na trudniejsze miejsca w Tatrach" (Kuryer lwowski, nr. 379). Czas (nr. 370) w artykule p. t. Lekkomyślna turystyka—woła o „rozumne przestrogi" pod adresem młodzieży. Inni, czytając o trudnościach, z jakiemi walczyły wyprawy ratunkowe, o nieznalezieniu śp. Szulakiewicza przez pierwszą ekspedycyę — dawali cenne rady w sprawie udoskonalenia środków ratunkowych. P. Zygmunt Sarnecki pisze w Czasie: „wobec niebezpieczeństw, na które narażeni są nieustannie turyści, odbywający korkołomne wycieczki w Tatrach, dziwić się należy, że nikt u nas nie pomyślał dotąd o zastosowaniu jednego z najdoskonalszych środków ratunkowych, jakiem jest użycie odpowiednio wytresowanych psów do śpiesznego wykrycia w czasie mgły, słoty lub śnieżnej zawiei nieszczęśliwych ofiar górskich wypadków. . . . . Tam, gdzie człowiek nie dojdzie, dotrze względnie prędko para psów, z których jeden odgrzebie zasypanego przez śnieżycę, albo rannemu, leżącemu na dnie przepaści, przyniesie w flaszce, uwiązanej u szyi, rozgrzewający i wzmacniający kordyał — drugi zaś, po znalezieniu żyjącego lub zmarłego wędrowca, pośpieszy wskazać doń drogę szukającemu go pogotowiu" itd.

Wśród tej powodzi mniej lub więcej humorystycznych „głosów publiczności" — ukazał się w Kuryerze warszawskim (nr. 229) artykuł, zatytułowany „Wycieczki górskie", którego autor, podpisany literami „Rz", a o rzeczach taternickich niezgorzej poinformowany, postawił sprawę w sposób oryginalny i zasługujący na bliższe omówienie.

Widzi on następujące przyczyny wypadków tatrzańskich. Najpierw, że przewodnik jest zbyt drogi, dalej w tem, że wyrobionych turystów cechuje donkichoterya w „czepianiu się niemożliwych skał", wreszcie — w zgubnej działalności Sekcyi turystycznej. „Duch jaki panuje w tej Sekcyi — pisze p. Rz. — sprzyja znacznie mnożeniu się wypadków." „Sekcya kultywuje »miłość własną« taternika. Nie »szlachetne współzawodnictwo«, jak to się zwykło mówić, lecz pozioma zazdrość czczych w gruncie rzeczy wawrzynów wytworzyła atmosferę dążenia do »pierwszych wyjść«, »wyjść ścianą północną« itd." „Wytwarza się kult jakiś dla gimnastyków górskich; współzawodnictwo, nie zaś szlachetne zamiłowanie do natury, pędzi młodzieńców na niedostępne ściany...." „I mamy-ż się dziwić, że załobne wieści płyną ku dolinom? Niestety, będzie ich więcej, tych wieści, dopóki rozsądek nie umiarkuje młodzieńczych porywów, dopóki w Sekcyi nie przyjdą do głosu żywioły umiarkowane. Ale nie zanosi się na to; owszem, jest tam nawet dążność do wytworzenia rodzaju kapliczki straceńców; już trzeba się legitymować przy wstąpieniu karkołomnymi epizodami z przeszłości taternickiej"... „organ jej (Sekcyi), jeśli nie w zasadzie, to przynajmniej praktycznie w artykułach propaguje kult, o którym wyżej"... Cytaty te wystarczająco charakteryzują artykuł.

Jest on znamienny. Dowodzi, do jakich wniosków dochodzi obserwator taternictwa, sam nie będący taternikiem. Nie dziwią nas w tym artykule, że obserwator postronny, który — zgodnie z poglądem dzisiejszych czasów, zwykłym widzieć przyczyny czynów ludzkich jeśli nie w pieniądzach, to w orderach lub innych odznaczeniach — szuka źródeł taternictwa w „poziomej zazdrości czczych w gruncie rzeczy wawrzynów". Natomiast trudno nam ze spokojem czytać (inspirowanych zapewne) zarzutów, jakoby Sekcya propagowała kult katastrof górskich, jakoby „karkołomne epizody z przeszłości taternickiej" miały torować drogę do tej „kapliczki straceńców". To też dobrze zrobił Jerzy Żuławski, dowodząc w nr. 239 Kuryera warszawskiego, obszernie, jak niesłuszne i z prawdą niezgodne były zarzuty p. Rz.

Takie echa wywołały w prasie naszej wypadki sierpniowe.

. . . .

Na wiadomość o znalezieniu zwłok śp. Klimka Bachledy ukazały się w szeregu pism wspomnienia pośmiertne. Wszystkie zgodnie widziały w Zmarłym największego z przewodników tatrzańskich, człowieka niezwykłego, godnego czci i pamięci. Obszerniejsze nekrologi ogłosili: E. Żegota Cięglewicz (Czas, nr. 371), R. Kordys (Słowo polskie, nr. 377), Dr. St. Eljasz Radzikowski (Nowa Reforma) i Jerzy Żuławski („Zakopane"). Σ.

Z „Drukarni Udziałowej", Lwów, Kopernika 20.